

Maureen Child

Razem przez życie

(Expecting Lonergan's baby)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Spotkanie ducha nad jeziorem nie zaskoczyłoby bardziej Sama Lonergana. Nie spodziewał się tu nagiej dziewczyny.

To, co zobaczył, bardzo mu odpowiadało. Wiedział, że powinien odejść, odwrócić się, ale nie zrobił tego. Przeciwnie. Wbił wzrok w szczupłą, wysoką postać przecinającą ciemną, migocącą w blasku księżyca toń.

Nawet w słabym świetle widział wyraźnie jej lśniąca, opaloną skórę. Rozcinała gładką wodę niemal bezszelestnie. Długimi ruchami ramion płynęła szybko i spokojnie.

Intruz na cudzej ziemi, pomyślał o niej. Ale dobrze, że jest, dodał w myślach.

Przyglądał się nieznajomej, ale myślami był gdzie indziej.

Nie powinienem był tu wracać, mówił sobie.

To jezioro, to ranczo przywoływały zbyt wiele wspomnień. Zbyt wiele obrazów z przeszłości atakowało go boleśnie i bez litości.

Zacisnął powieki i głęboko nabrał powietrza. Kiedy otworzył oczy, napotkał wzrok dziewczyny. Wpatrywała się w niego, utrzymując się w miejscu machaniem nogami.

– Napatrzyłeś się? – rzuciła.

– To zależy. Masz jeszcze coś do pokazania?

Zagryzła wargi. Jakby siłą powstrzymywała cisnące się jej na usta słowa.

– Kim jesteś? – spytała po chwili.

W jej głosie więcej było złości niż lęku.

– Mógłbym spytać o to samo.

– To jest teren prywatny.

– Jak najbardziej. – Skrzyżował ręce na piersi. – I właśnie zastanawiam się, co ty tutaj robisz.

– Mieszkam tu. – Szarpnięciem głowy odrzuciła z twarzy mokre, brązowe włosy.

– Mieszkasz tu? To jest ranczo Lonerganów. Ranczo należało do jego rodziny od wielu pokoleń.

Od czasów gorączki złota, kiedy przodkowie Sama zdecydowali się ruszyć do Kalifornii w poszukiwaniu lepszego życia. Złota nie znaleźli. Zajęli się hodowlą koni. Z biegiem lat rodzina malała. Obecnie został tylko jeden starzec i trzech kuzynów: Sam, Cooper i Jake.

Dziadek Sama, Jeremiasz Lonergan, mieszkał na ranczu samotnie od dwudziestu lat. Od śmierci żony, babki Sama. Więc, jeśli wierzyć nagej dziewczynie, miał lokatorkę.

– Zgadza się – przyznała dziewczyna. – Ale właściciel tego rancza jest opiekuńczy. I bywa wściekły.

Sam omal nie parsknął śmiechem. Nie spotkał na świecie człowieka o równie gołęmbim sercu jak jego dziadek. A według tej dziewczyny miał się wściekać.

– Ale chyba nie ma go tutaj? – zapytał.

– Nie ma.

– Skoro więc jesteśmy tylko we dwoje i skoro zaprzyjaźniamy się tak ładnie... może

powiesz mi, czy często kapiesz się nago?

– A ty często podglądasz nagie kobiety?

– Kiedy tylko mam okazję.

Posłała mu groźne spojrzenie. Odsunęła z czoła mokre włosy. Zanurzyła się przy tym trochę głębiej. Utrzymywanie się na powierzchni męczyło ją coraz bardziej.

– Nie wyglądasz na zawstydzonego. Uśmiechnął się.

– Miła pani, gdybym nie spoglądał na nagą kobietę, kiedy tylko nadarzy się sposobność, to dopiero byłoby zawstydzające.

– Twoja mama musi być z ciebie dumna. Zaśmiał się. Mama pewnie nie, ale dziadek na pewno.

Rozejrzała się dookoła. Pustka. Byli sami wśród dębów wokół jeziora. Do rancza mieli prawie dwa kilometry, a do szosy – dwadzieścia.

– Posłuchaj – zaczęła – miałeś już swój spektakl. Teraz jest mi zimno, jestem zmęczona i chciałabym wyjść.

– Kto ci zabrania? Oczy jej pociemniały.

– Słucham? Przecież nie wyjdę z wody, kiedy się na mnie gapisz.

Sam poczuł coś jak wyrzut sumienia, ale zignorował go. Owszem, powinien się odwrócić. Ale czy głodny człowiek odsunie stek tylko dlatego, że został skradziony?

– Powinieneś się odwrócić – usłyszał po chwili. Delikatny uśmiech podniósł mu kąćki warg.

– Skąd mam wiedzieć, że nie uderzysz mnie czymś ciężkim, kiedy to zrobię?

– Czy wyglądam na kogoś, kto ma złe zamiary?

Wzruszył ramionami.

– Ostrożności nigdy za wiele.

Pokiwała głową. Zanurzyła się przy rym po samą brodę.

– Wspaniale. Ja jestem naga, ale to ty się boisz.

Podmuch wiatru poruszył liśćmi. Zadrzała. Zanurzyła się jeszcze głębiej. Sam znowu poczuł wyrzuty sumienia.

Podniósł głowę ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Jaka piękna noc – powiedział. – Może rozbiję tu obóz?

– Nie zrobisz tego.

– Nie? – Rozbawiony coraz bardziej, udawał, że poważnie się zastanawia. – Może nie.

Ale pytanie pozostanie. Wychodzisz czy będziesz próbowała spać, pływając?

Sapnęła gniewnie. Wściekle uderzyła dłonią w wodę.

– Wychodzę!

– Nie mogę się doczekać!

– Straszny z ciebie palant, wiesz?

– Już to kiedyś słyszałem.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Wciąż jesteś w wodzie. – Wetknął ręce do tylnych kieszeni spodni. – Musi ci być zimno...

– Owszem, ale...

– Już ci powiedziałem, że nie odejdę.

Znów rozejrzała się nerwowo, jakby szukała ratunku.

– Skąd mam wiedzieć, że nie rzucisz się na mnie, kiedy tylko wyjdę z wody?

– Mogę ci dać słowo. Ale ponieważ mnie nie znasz, chyba nie na wiele się to zda.

Parę chwil przyglądała się mu uważnie. Zrobiło mu się nieprzyjemnie.

– Jeśli dasz mi słowo, zaufam ci – powiedziała po chwili.

Zmarszczył brwi. Wyjął rękę z kieszeni i potarł się po karku. Piękna naga nieznajoma była gotowa mu zaufać. Wspaniale.

– Zgoda. Daję słowo.

Kiwnęła głową. Lecz minęła dobra minuta, nim ruszyła do brzegu. Poczul wtedy coś dziwnego. Oczekiwanie? Podniecenie?

Blask księżyca migotał na jej mokrej skórze, kiedy powoli wynurzała się z wody. Przyglądał się, jak szła do starannie złożonego pod drzewem ubrania. Zrobiło mu się gorąco. Gwałtowne pożądanie rozpaliło krew w żyłach Sama.

Była wysoka i szczupła. Miała drobne, jędrne piersi i wąskie biodra. Fragmenty nieopalonej skóry powiedziały mu, że raczej rzadko opalała się nago. Ta niekompletna opalenizna sprawiła, że jej nagość stała się jeszcze bardziej podniecająca. Paski jasnej skóry aż korciły, by przyjrzeć im się dokładnie.

Pożądanie wzburzyło krew Sama.

W blasku księżyca była jak bajkowa zjawa. Aż go ręce świerzbiły, by wziąć ją w ramiona. Pomyślał, że to syrena wyszła z morskiej toni, żeby go uwieść.

– Jesteś cudowna.

Zawahała się. Wyżej uniosła głowę. Stała, dumna, pewna siebie. Wiedziała, że to on powinien być wstydzić się, że na nią patrzy.

Ale, do diabła! Nie mógł przestać.

Po chwili wciągnęła koszulkę i luźną, długą do kolan spódnicę. Stopy wsunęła w sandały.

Powinien być jej wdzięczny. Dzięki niej uwolnił się od upiórów przeszłości. Od wspomnień, które budziły się nad tym jeziorem.

– Wiesz – odezwał się, kiedy się wyprostowała. – Przepraszam cię za wszystko. Nie spodziewałem się spotkać tu ciebie i...

Dała mu kuksańca w żołądek. Niezbyt mocno. Ale zaskoczyła go tak bardzo, że na moment stracił oddech.

– Zdziwiony?! – Maggie Collins zebrała włosy w gruby węzeł i wycisnęła resztki wody.

Cudowna, pomyślał. Cudowna.

Wciąż czuła to dziwne ciepło koło serca, które pojawiło się, kiedy jej się przyglądał. Było to tak, jakby jej dotykał, a nie patrzył. I wtedy przez króciutką chwilkę zapragnęła, żeby naprawdę jej dotknął.

Wprawiło to Maggie w jeszcze większą wściekłość. Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Ty zepsuty, samolubny, żaloszny...

Psiakrew! Znowu zabrakło jej przekleństw.

Oddychała gwałtownie. Urażona duma bolała. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, przyglądającego się jej w ciemnościach, omal nie umarła na atak serca. Ale im dłużej mu się przyglądała, tym lęk szybciej słabł.

Maggie bardzo długo musiała polegać na sobie. Miała instynkt, który podpowiadał jej, kiedy była bezpieczna, a kiedy nie. Żaden dzwonek alarmowy nie włączył się, kiedy na niego patrzyła. Był źle wychowany, ale nie był niebezpieczny.

Przynajmniej fizycznie.

Ale działał na zmysły... To już zupełnie inna bajka. Był wysoki i przystojny. I miał błysk w ciemnych oczach... Coś bardzo... smutnego. A Maggie była bardzo wrażliwa na mężczyzn o smutnych oczach i o samotnych sercach.

Niestety, kilka razy w życiu sparzyła się. Nabrała przekonania, że musi być jakiś powód tego, że mężczyzna jest samotny.

Wpatrywała się w Sama, który zakłócił jej nocne pływanie. Kilka lat wcześniej czmychnęłyby, gdzie pieprz rośnie. Teraz było inaczej. W ciągu ostatnich dwóch lat zdarzyło się tak wiele. Tak wiele się zmieniło. Znalazła dom. Stała się częścią rancza Lonerganów... I nikt, nawet taki przystojny nieznajomy, nie był w stanie jej przestraszyć.

– Ale masz cios. – Sam próbował zagadywać Maggie.

– Przeżyjesz. – Minęła go i ruszyła ścieżką między drzewami, wiodącą do rancza.

Zatrzymał ją, kładąc rękę na ramieniu. Poczowała mrowienie na karku. Krew żywiej popłynęła w jej żyłach. Gwałtownie odskoczyła.

– Hej, hej – powiedział uspokajająco. – Wszystko w porządku. Uspokój się.

Tak gwałtowna reakcja zaskoczyła nawet ją samą.

– Nie dotykaj mnie więcej.

– W porządku – powiedział. – To się nie powtórzy. Maggie oddychała głęboko. Starła się uspokoić.

Nie wystraszyła się tego, że dotknął jej ramienia, ale jak na to dotknięcie zareagowała. Dzwonki alarmowe w jej głowie przeraźliwie się rozdzwoniły. Lepiej unikaj tego mężczyzny!

– Dotarcie do domu zajmie mi jakieś dziesięć minut – powiedziała lekko drżącym głosem. – Wykorzystaj ten czas, żeby stąd odejść.

– Nie zrobię tego. – Pokręcił głową.

– Lepiej zrób. Kiedy tylko dotrę do telefonu, zadzwonię na policję, że jakiś intruz się tu kręci.

– Proszę bardzo – powiedział. – Ale nie będzie z tego nic dobrego.

– A to dlaczego?

– Ponieważ chodziłem do szkoły z szefem policji w tym mieście. Poza tym myślę, że Jeremiasz Lonergan protestowałby gorąco przeciwko aresztowaniu mnie.

Maggie poczuła niepokój. Ale jednak zadała to pytanie:

– Czemu protestowałby?

– Gdyż jestem Sam Lonergan, a Jeremiasz jest moim dziadkiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gniew ścisnął gardło Maggie. Wiedziała, że wszyscy trzej wnukowie Jeremiasza mieli tu przyjechać tego lata. Ale nie spodziewała się, że jeden z nich będzie podglądał ją pod osłoną nocy.

– Gdybym wiedziała, kim jesteś – rzuciła wściekle – walnęłabym cię mocniej.

– To dobrze, że siedziałem cicho.

– Jak mogłeś to zrobić? – Wsparła się pod boki. Jej oczy groźnie migotały.

– Co takiego?

– Opuściłeś go – parsknęła. – Ty... wy wszyscy. Przez ostatnie dwa lata żaden z was nawet nie odwiedził dziadka.

– A skąd ty to wiesz?

– Byłam tu przez cały czas. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Opiekowałam się tym uroczym staruszkiem przez dwa lata. Żaden z was nie raczył wpaść do niego choćby na chwilę.

– Uroczym staruszkiem? – Sam zaśmiał się głucho. – Jeremiasz Lonergan to najokropniejszy staruch w naszym kraju.

– To nieprawda! – krzyknęła. Do białości rozwścieczyło ją, że kpił ze starego człowieka, który był bardziej samotny niż ona, kiedy go poznała. – On jest uroczy. I opiekuńczy. I samotny. Jego bliscy ani razu nie raczyli go nawet odwiedzić. Powinniście wstydzić się. A zwłaszcza ty. Jesteś lekarzem. Powinieneś zjawić się tu wcześniej, sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku. Ale nie. Czekałeś, aż on będzie... – Boże! Nie mogło przejść jej przez gardło słowo: umierający.

Nawet nie mogła pomyśleć, że mogłaby stracić tego człowieka. I dom, który tak bardzo pokochała. A tu stał przed nią człowiek, który w ogóle nie potrafił tego docenić. Który nie umiał uszanować miłości, która na niego tam czekała.

Kolejna fala gniewu zamgliła spojrzenie Maggie.

Głośny śmiech Sama szybko przeszedł w żalony jęk.

– A kimże ty właściwie jesteś? – rzucił.

– Nazywam się Maggie Collins. Jestem gospodynią twojego dziadka.

Pracowała u niego, ponieważ dał jej szansę, kiedy jej najbardziej potrzebowała. I dlatego nikomu, nawet jego wnukowi, nie zamierzała pozwolić szkalować starszego pana, którego pokochała całym sercem.

– Maggie Collins – powtórzył z namysłem. – To, że opiekujesz się domem Jeremiasza, nie oznacza, że cokolwiek wiesz o mnie i mojej rodzinie.

Pochyliła się ku niemu, przeszywając go wściekłym spojrzeniem. Przez te dwa lata nieraz widziała, jak Jeremiasz przeglądał stare albumy z rodzinnymi fotografiami i oglądał amatorskie filmy sprzed lat. Wciąż tęsknił za wnukami, którzy nie potrafili znaleźć dla niego nawet chwili czasu.

– Doskonale wiem, że chociaż ma on trzech dorosłych wnuków, jest człowiekiem okropnie samotnym. Wiem, że musiał zaprosić obcą osobę, żeby mieć towarzystwo. Wiem

też, że wciąż oglądał wasze fotografie i że rozpacz ścisnęła mu serce.

Stuknęła Sama palcem w pierś. – I wiem też, że musiał znaleźć się na skraju śmierci...

– Gniew odebrał jej oddech – ... żebyście wszyscy raczyli przyjechać do niego. Wiem to aż za dobrze.

Sam przecesał palcami włosy. Spojrzał w dal. Powoli policzył do dziesięciu. Kiedy minęła mu pierwsza fala złości, spojrzął jej prosto w oczy.

– Masz rację – powiedział.

Nie spodziewała się tego. Stropiła się. Przechyliła na bok głowę.

– Tak po prostu? Mam rację?

– Właśnie tak – powiedział cicho. – To jest bardzo... skomplikowane – dodał po chwili.

– Nieprawda. – Pokręciła głową. – On jest twoim dziadkiem. Kocha cię. A ty go ignorujesz.

– Nic nie rozumiesz.

– To prawda. – Skrzyżowała ramiona. Przytupywała niecierpliwie.

– Niczego nie muszę ci wyjaśniać, Maggie Collins – usłyszała.

Nie musiał. Ale bardzo pragnęła usłyszeć, co miałby do powiedzenia. Rozpaczliwie pragnęła zrozumieć, dlaczego ktoś, to ma rodzinę, tak bardzo jej unika.

– W porządku. Być może nie musisz mi niczego wyjaśniać. Ale na pewno należy się to twojemu dziadkowi.

Twarz mu się ściągnęła.

– Jestem tu, tak? – rzucił.

– Wreszcie! Widziałeś się już z nim?

– Nie – przyznał. Wcisnął ręce do kieszeni. – Musiałem najpierw przyjść właśnie tutaj. Stawić czoło temu miejscu.

Serce Maggie ścisnęło się boleśnie. Wiedziała, co widział, kiedy patrzył na jeziorko. Wiedziała, jakie opadały go wtedy wspomnienia. Jeremiasz opowiedział jej wszystko o swoich wnukach. Wszystko.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, jakie to dla ciebie musi być trudne, ale...

– Nie wiesz – przerwał jej. – Nie możesz wiedzieć. Lepiej wracaj już do domu. Powiedz dziadkowi, że niedługo się zjawię.

Odwrócił się i odszedł. Zatrzymał się na skraju ciemnej, gładkiej wody. Zrobiło się jej przykro. Nie chciała mu sprawiać bólu. Ale uważała, że nawet jeśli miał powody, dla których unikał rancza Lonerganów, nie miał prawa zostawiać samego starego człowieka, który tak mocno go kochał.

Krótką chwilą współczucia minęła. Maggie szybko odeszła.

Zanim Maggie otworzyła drzwi, zastukawszy w nie prędko, Jeremiasz zdążył jeszcze schować pod kołdrę książkę, którą czytał. Popatrzył na dziewczynę, którą traktował jak własną wnuczkę, i uśmiechnął się do siebie. Jej ciemne włosy były mokre. Na koszulce miała mokre plamy. Na długiej spódnicy dostrzegł żdźbła trawy. Z sandałów sączyła się woda.

– Znowu byłeś nad jeziorem, prawda? Uśmiechnęła się, lecz nie zdołała ukryć dziwnego błysku w ciemnych oczach.

– O co chodzi, Maggie? – Chwycił ją za rękę. – Dobrze się czujesz?

– Nic mi jest. – Uwolniła dłoń. Zabrała ze stolika przy łóżku karafkę i poszła napełnić ją wodą. – Spotkałam twojego wnuka, to wszystko – powiedziała, kiedy wróciła.

Serce Jeremiasza załopotało. Przypomnił sobie, że niedawno był umierający.

– Którego? – spytał słabym głosem.

– Sama.

– Ach! – Uśmiechnął się do siebie. – Hm, gdzie on jest? Nie przyjechał z tobą?

– Nie. – Pogasiła światła, zostawiając tylko małą lampkę przy łóżku. – Powiedział, że chciał najpierw zostać przez chwilę sam nad jeziorem.

Serce Jeremiasza ścisnęło się boleśnie. Wiedział, że nie było to nawet w części cierpienie, jakiego doświadczał Sam. Ale, do diabła! Minęło już piętnaście lat. Czas najwyższy, żeby młodzi Lonerganowie odcięli się od przeszłości. Bardzo odległej przeszłości. I dlatego, chociaż skłamał, żeby sprowadzić ich wszystkich do siebie, skłamał w słusznej sprawie.

– Jak on wygląda?

Maggie starannie poprawiała mu poduszki i wyprostowała się.

– Na samotnego – powiedziała z namysłem. – Na najbardziej samotnego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

– Myślę, że tak właśnie jest. – Jeremiasz ciężko westchnął. Właściwie powinien czuć wyrzuty sumienia, że użył podstępny, by zwabić do siebie wszystkich wnuków. Ale nie czuł. – Nie będzie łatwo. Żadnemu z nich. Ale są silni. Poradzą sobie.

Maggie wygładziła okrywający Jeremiasza koc. Pochyliła się i cmoknęła staruszka w czoło.

– To nie o nich martwię się najbardziej – powiedziała.

– Jesteś dobrą dziewczyną, Maggie. Ale o mnie nie musisz się martwić. Kiedy zjawią się tu moi chłopcy, nic mi się nie stanie.

Sam ostrożnie wszedł do domu. Spodziewał się, że strażniczka dziadka rzuci się nań z któregoś kąta. Jednak Maggie Collins nie było w pobliżu. Rozejrzał się dookoła. Nic się nie zmieniło. Dębowa podłoga nosiła jeszcze ślady jego dzieciństwa. Na środku wielkiego salonu, oświetlonego tylko dwiema lampami, stały ustawione w czworobok skórzane sofy. A pomiędzy nimi stolik. Na brzegu leżały kolorowe pisma, a na samym środku stał wazon z kwiatami.

Musiła być w tym ręka Maggie. Jeremiasz na pewno nie pomyślałby o żółtych różach.

W wielkim kominku zarzyły się bierwiona. Na ścianach wisały rodzinne fotografie i obrazy namalowane ręką młodego, utalentowanego artysty. Sam boleśnie się skrzywił. Nie był gotów na spotkanie z duchami. Wystarczyło mu, że w ogóle znalazł się w tym domu.

Postawił torbę przy drzwiach i ruszył ku schodom. Każdy stopień wykonany był z potężnej drewnianej belki, a wszystkie wypolerowane do gładkości przez lata użytkowania.

Jego kroki dudniły tak jak serce. Każdy kolejny zbliżał go do wspomnień, których wcale nie pragnął. Ale nie miał odwrotu.

Na szczycie schodów zatrzymał się. Popatrzył w głąb długiego korytarza. Wszystkie

drzwi były zamknięte, ale on doskonale wiedział, co za nimi się kryło. Każdego lata on i jego kuzyni mieszkali w tych pokojach. Biegali po schodach, zjeżdżali po poręczy. I szaleli radośnie po całym ranczu.

Aż do tamtego lata.

Do tamtego dnia, kiedy wszystko zmieniło się na zawsze.

Do dnia, kiedy wydorośleli... I rozstali się.

Przeciwną ręką po twarzy. Jakby chciał zetrzeć bolesne wspomnienia. Ruszył do najbliższych drzwi.

Do pokoju dziadka. Człowieka, którego nie widział od piętnastu lat.

Zrobiło mu się wstyd.

Gdyby Maggie wiedziała, pomyślał, byłaby dumna. W jednej sprawie miała rację. Nie powinni byli zostawiać starego człowieka na tak długo samego. Powinni zdobyć się na wysiłek mimo bólu.

Nie zrobili tego.

Przeciwnie. Ukarali samych siebie. A tym samym i staruszka, który ani trochę na to nie zasługiwał.

Zastukał w drzwi i czekał.

– Sam?

Głos był bardzo słaby, ale znajomy. Najwyraźniej gospodyni-strażniczka już uprzedziła dziadka. Wszedł do środka. Serce skoczyło mu do gardła.

Jeremiasz Lonergan. Najsilniejszy człowiek, jakiego Sam kiedykolwiek spotkał, wyglądał... staro. Stracił większość włosów. Jego opalona czaszka połyskiwała w świetle słabej żarówki. Te włosy, które mu jeszcze zostały, były całkiem siwe. Twarz miał pomarszczoną. W wielkim łóżku wydawał się mały.

Samowi żal ścisnął gardło. Upłynęło tyle czasu. Zbyt wiele. Przez lata tęsknił za tym człowiekiem, którego szczerze kochał. Podświadomie oczekiwał, że Jeremiasz się nie zmienił. Mimo że lekarz dziadka telefonował i powiedział, że nie zostało mu już wiele czasu.

– Cześć, dziadku. – Zmusił się do uśmiechu.

– Wejdz, wejdz. – Dziadek machnął zapraszająco ręką. Poklepał brzeg swojego łóżka. – Usiądź, chłopcze. Niech ci się przyjrzę.

Sam przysiadł na krawędzi łóżka i uściśnął staruszka. Był bardzo chudy, ale jego oczy patrzyły jasno i uważnie. A sękaty dłoń nie drżały.

To dobrze.

– Jak się czujesz? – Sam położył dłoń na czole dziadka.

– Dobrze. – Jeremiasz niecierpliwie odsunął jego rękę. – Bardzo dobrze. A od szturchania i obmacywania mam swojego doktora. Nie potrzebuję, żeby jeszcze mój wnuk to robił.

– Przepraszam. – Sam wzruszył ramionami. – Przyzwyczajenie zawodowe. – Jako lekarz szanował diagnozy lekarzy i starał się nigdy nie wchodzić im w paradę. Jako wnuk chciał osobiście przekonać się, w jakim dziadek był stanie. – Rozmawiałem z doktorem Evansem w ubiegłym miesiącu, zaraz jego rozmowie z tobą. Powiedział, że twoje serce jest w bardzo złym stanie.

Jeremiasz skrzywił się.

– Lekarze! Nie zwracaj na nich uwagi.

– Dziękuję. – Sam parsknął śmiechem.

– Nie myślałem o tobie, chłopcze. Jestem pewien, że jesteś dobrym doktorem. Zawsze byłem z ciebie dumny, Samie. Szczerze mówiąc, powiedziałem kiedyś Bertowi Evansowi, że mógłbyś przejąć jego praktykę.

Sam wstał. Wcisnął ręce do kieszeni. Tego właśnie się obawiał. Że staruszek będzie sobie obiecywał po tej wizycie więcej, niż to możliwe. Że będzie chciał zatrzymać Sama.

Dziadek nie zauważył albo nie chciał zauważyć jego zmieszania. Nie przestał mówić. I z każdym jego słowem poczucie winy kłuło Sama coraz mocniej.

– Myślę, że Bert to dobry doktor. Ale jest tak stary jak ja. Pora mu zwijać interes. – Uśmiechnął się do Sama i mrugnął porozumiewawczo. – W mieście potrzebny jest lekarz. A ty nie masz jeszcze swojej...

– Dziadku, ja tu nie zostanę. – Sam starał się, by nie zabrzmiało to zbyt gwałtownie. Nie chciał go urazić. Ale też nie chciał, żeby czynił sobie płonne nadzieje. Oczy dziadka zaszkliły się. – Przyjechałem tu tylko na lato – powiedział miękko. – Potem wyjadę.

– Myślałem... – Jeremiaszowi głos się załamał. – Myślałem, że kiedy w końcu tutaj przyjedziesz, zobaczysz, że to twoje miejsce. Że tu jest miejsce was wszystkich.

Żal ścisnął Samowi gardło. Kiedy był dzieckiem, wszystko oddałby za to, żeby móc zostać tu na zawsze. Stać się częścią społeczności tego miasta. Żyć w tym domu. Lecz wszystkie te marzenia legły w gruzach pięknego letniego dnia, piętnaście lat temu.

Od tamtej pory nie miał swego miejsca na ziemi.

– Bardzo mi przykro, dziadku – powiedział. Wiedział, że to za mało, ale tylko na tyle potrafił się zdobyć.

Starszy pan długo mu się przyglądał. Pomału opuścił powieki i westchnął.

– Lato jest długie, mój chłopcze. Wszystko może się zdarzyć..

– Nie rób sobie nadziei, Jeremiaszu. Nie zostanę tutaj. Nie mogę. I dobrze wiesz, dlaczego.

– Wiem, czemu tak uważasz. I wiem, że się mylisz. Wszyscy się mylicie. Ale mężczyzna sam musi kierować swoim losem. – Podciągnął koc pod brodę. – Jestem teraz zmęczony. Przyjdź jutro. Porozmawiamy dłużej.

– Jeremiaszu...

– Idź – wyszeptał. – Idź na dół i weź sobie coś do jedzenia. Rano wciąż tu będę.

Samowi nie pozostało nic innego, jak posłuchać. Cicho zamknął za sobą drzwi. Wspaniale! Był w tym domu nie dłużej niż kwadrans i już zdążył rozgniewać chorego na serce staruszka.

Ale nie mógł pozwolić, żeby dziadek robił sobie nadzieje. Nie mógł obiecać Jeremiaszowi, że zostanie. Nie potrafił myśleć o przyszłości, gdy przeszłość wciąż go przytłaczała.

Tyle lat żył z prześladowającymi go wspomnieniami... Ale nie mógłby... nie potrafiłby żyć w tym domu. Tu z każdego kąta wyglądały upiory z dawnych lat.

ROZDZIAŁ TRZECI

Maggie siedziała w salonie i gapiła się przez okno na dom. Oddalony był nie więcej niż o dziesięć metrów, ale jej zdawało się, jakby to było dziesięć kilometrów.

Przez dwa lata żyła na ranchu Lonerganów. Od dnia, w którym jej samochód ostatecznie odmówił posłuszeństwa przed bramą rancha. Ale nigdy nie czuła się tam tak niepotrzebna. I taka samotna.

Łzy cisnęły się jej do oczu.

Nie miała wtedy grosza przy duszy i właśnie straciła środek transportu. I chociaż tak naprawdę nie miała dokąd jechać, to jeszcze pięć minut wcześniej przynajmniej mogła.

Rozglądała się po pustej drodze wijącej się wśród bezkresnych pól. Rozpacz coraz mocniej ścisnęła ją za gardło. Słońce niemiłosiernie paliło. Nie było w pobliżu ani jednego drzewa, które mogłoby dać odrobinę cienia. Ostatnia tablica, którą minęła po drodze, informowała, że do najbliższego miasta, Coleville, było jeszcze czterdzieści kilometrów.

Na samą myśl o takim spacerze poczuła śmiertelne zmęczenie. Jednak siedzenie i czekanie na ratunek nie miało sensu. I ani trochę nie przybliżyło jej do miasta. Rozpacz mogła co najwyżej sprawić, że będzie miała czerwone oczy i nos. Nie! Maggie Collins nie będzie użalać się nad sobą. Musi spróbować. Wiedziała, że wcześniej czy później znajdzie swoje miejsce na ziemi. Gdzie będzie mogła osiąść, zapuścić korzenie. Spełnić swoje marzenia.

Musiała działać. Otworzyła drzwiczki samochodu i wyciągnęła granatowy plecak.

– Wygląda na to, że samochód ma już dosyć. Poderwała się gwałtownie. Uderzyła głową o dach auta. Starszy pan stał tuż za nią oparty o bramę, nad którą wisiał napis „Ranczo Lonerganów”. Nie usłyszała, kiedy nadszedł. Albo on był bardziej żwawy, niż wyglądał, albo ona bardziej zmęczona, niż sądziła.

Chyba jednak to drugie.

Nie był to wysoki mężczyzna. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, spod którego uważnie przyglądały się jej ciemne oczy. Jego dzinsy były chyba starsze niż on sam.

– To już koniec. – Machnął ręką w stronę samochodu.

– Taaak. Ale nic w tym dziwnego. Już kilkaset kilometrów przejechał na słowo honoru.

Przyjrzał się jej uważnie, lecz nie było to groźne spojrzenie. Raczej jakby patrzył na zagubione dziecko i zastanawiał się, jak mu pomóc.

Na koniec powiedział:

– Przy samochodzie nic pomóc nie mogę, ale jeśli odważysz się pójść ze mną do domu, poszukamy czegoś na lunch.

Zerknęła przez ramię na pustą drogę. Potem spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Już w dzieciństwie nauczyła się ufać swemu instynktowi. Tym razem mówił jej, że powinna się zgodzić. Cóż miała do stracenia? Była przekonana, że gdyby coś miało pójść nie tak, zdołałaby mu bez trudu uciec.

– Nie mogę zapłacić za jedzenie – powiedziała. Dumnie spojrzała mu prosto w oczy. – Ale chętnie odpracuję, jeśli się pan zgodzi.

Uśmiechnął się. Ciepło i przyjaźnie.

– Myśle, że się dogadamy – powiedział.

Maggie westchnęła do swoich wspomnień. Położyła głowę na oparciu wielkiego fotela. Podwinęła pod siebie nogi i rozejrzała się po wnętrzu domku, który był jej schronieniem przez ostatnie dwa lata. Jeremiasz zaoferował jej tamtego dnia domek gościnny. Nim skończyli jeść lunch, który przygotowała, zaproponował jej posadę i zakwaterowanie.

I tak żyją razem przez dwa lata.

Maggie obróciła głowę. Po raz pierwszy zobaczyła w dużym domu światło inne niż w sypialni Jeremiasza. Z niepokojem zastanawiała się, co dla niej samej może oznaczać przybycie Sama Lonergana.

Zbudził go rozkoszny aromat kawy.

Sam obrócił się na plecy i wbił w sufit niewidzące spojrzenie. Przez chwilę nie mógł zorientować się, gdzie jest. Dla niego to nic nowego. Ktoś, kto podróżował tak dużo jak on, przywykł do budzenia się w różnych obcych miejscach.

Nagle wszystko mu się przypomniało i serce ścisnęło się boleśnie. Pokój prawie nie zmienił się, odkąd był dzieckiem. Białe ściany obwieszane były plakatami ze sportowymi bohaterami sprzed lat. Na biurku pod ścianą wciąż stał plastikowy ludzki szkielet. Półki pełne były książek i podręczników medycznych.

Nakrył oczy ramieniem. Jakby chciał uciec przed bolesnymi wspomnieniami. Niemal słyszał głosy kuzynów. Jak każdego lata, które spędzali w tym domu.

Czterej chłopcy Lonerganów byli sobie bliscy jak bracia. Urodzili się w ciągu trzech lat i dorastali, spotykając się każdego lata na ranczu. Ich ojcowie byli braćmi. Żaden z nich jednak nie myślał o powrocie na ranczo.

Ich synowie zaś przyjeżdżali tam z ochotą. To był dla nich zupełnie inny świat. Wielkie połacie ziemi otwarte po horyzont zapraszały, by wsiąść na rowery i ruszyć w nieznaną. W miasteczku odbywały się targi, pokazy sztucznych ogni i mecze baseballowe. Można też było reperować płoty i pomagać przy koniach. I można było kąpać się w jeziorze.

Na to wspomnienie Sam poczuł ucisk w dołku. Serce załomotało mu gwałtowniej i oblał się zimnym potem.

– Nie powinienem był tu przyjeżdżać – mruknął pod nosem.

Ale czy mógł nie przyjechać? Staruszek był w bardzo złym stanie i go potrzebował. Nie mógł mu odmówić.

Minęło piętnaście lat, a jego pokój wyglądał tak, jakby opuścił go przed kwadransiem. Trudno dorosłemu mężczyźnie znaleźć się w miejscu, które opuścił jako chłopiec z poczuciem winy i bólem w duszy.

– Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo – powiedział.

Odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Pora zmierzyć się z pierwszym dniem lata, które zapowiadało się na najtrudniejsze w jego życiu.

Z parteru dolatywały stłumione odgłosy krzątania w kuchni. I zapach kawy, silniejszy

jeszcze niż dotychczas.

W kuchni musiała być nimfa z jeziora.

Gospodyni Jeremiasza.

Kobieta, którą oglądał naga.

Kobieta, o której śnił przez całą noc.

Psiakrew! Powinien jej podziękować. Śniąc o niej, uwolnił się od dręczących go koszmarów. Od innej twarzy, której obraz stale go prześladował.

Ubrał się szybko i bosy wyszedł na korytarz. Na chwilę zatrzymał się przed drzwiami sypialni dziadka. Ruszył dalej.

Potrzebował kawy.

I może czegoś jeszcze. Kolejnego spojrzenia na nimfę?

Jego bose stopy poruszały się bezszelestnie. Maggie nawet nie zorientowała się, że stanął w drzwiach kuchni i przyglądał się jej w milczeniu. Poranne słońce wpadało przez okno na złoty obrus na stole i ciepłą, drewnianą podłogę. W kuchni wszystko lśniło. Widać było, że gospodyni dobrze wykonywała swoje obowiązki.

Ale to nie wnętrze kuchni przyciągało uwagę Sama. Jak poprzedniej nocy – wpatrywał się w Maggie.

Trochę irytowała go jej obecność w tym domu. Ale też trochę był rad, że dziadek ją zatrudnił.

Włosy splotła w długi, czarny warkocz. Na końcu przewiązała go czerwoną wstążką. Miała na sobie jasnoniebieską bluzeczkę i bardzo wytarte džinsy.

Na stoliku w kącie stało radio. Cicho grało jakąś starą piosenkę. Sam z zachwytem patrzył, jak jego nimfa poruszała biodrami w rytm muzyki. Wstrzymał oddech i wodził za nią wzrokiem.

Nagle Maggie zakreśliła szybki piruet i zobaczyła go. Uśmiech znikł z jej twarzy.

– Zawsze zakradasz się i podglądasz ludzi, czy tylko mnie?

– Nie chciałem przerywać tego tańca – powiedział.

Minął ją i poszedł do ekspresu do kawy. Nalał sobie pełny kubek i odwrócił się ku Maggie. Stała oparta o blat.

– Zawsze tańczysz w kuchni? – spytał.

Mocniej zacisnęła dłoń na trzymanej łyżce.

– Tylko kiedy jestem sama – rzuciła.

– Tak jak z pływaniem nago, co?

– Dżentelmen tego by nie powiedział.

– Dżentelmen nawet nie patrzyłby – przyznał. – A ja patrzyłem, pamiętasz?

– Trudno mi zapomnieć.

– Mnie też.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i bez słowa je zamknęła. Był pewien, że policzyła do dziesięciu, żeby nad sobą zapanować. Wyraźnie widział jej płonące gniewem spojrzenie.

Sam wypił łyk kawy.

– Wyraźnie szukasz zaczepki – powiedziała.

– Dlaczego?

Zmarszczył brwi.

– Bo nie jestem miłym facetem.

– Twój dziadek mówi coś innego. Zerknął na nią z zainteresowaniem.

– Jeremiasz nie jest obiektywny. I zawsze przesądza. Nie wierz nawet w połowę tego, co mówi.

– Powiedział mi, że jesteś lekarzem. To prawda?

– Prawda.

– Czy ty... – zawahała się. – Badałeś go wczoraj wieczorem?

Parsknął śmiechem.

– Ja? Nie ma szans. On wciąż traktuje mnie jak trzynastoletniego chłopca, który chciał zrobić gipsowy odlew jego psa.

– Niemożliwe.

– Tak było. – Uśmiechnął się. – Na szczęście dziadek zjawił się, zanim gips zdążył na psie zastygnąć.

Maggie uśmiechała się. Jej oczy pięknie lśniły. Sam poczuł się nagle... skrępowany. Pociągnął kolejny łyk kawy.

– Mniejsza z tym – powiedział. – Jeremiasz nie pozwolił mi się dotknąć. Porozmawiam z jego lekarzem. Dowiem się wszystkiego, co będzie możliwe.

– Dobrze. – Pokiwała głową i wzięła się do rozbijania jajek. – Dobrze, że się dowiesz. Bałam się. On był taki...

– Jaki?

Obróciła się ku niemu.

– Nie umiem tego nazwać, pokazać – powiedziała. – Nie potrafię powiedzieć: „To jest inaczej. To jest źle”. Ostatnio był jakiś... inny. Może bardziej zmęczony. Bardziej... kruchy.

– Dobiega już siedemdziesiątki – zauważył Sam.

– Jeszcze dwa tygodnie temu nie powiedziałbyś tego – rzekła. – Wstawał skoro świt, pracował, jeździł do miasta na lunch z doktorem Evansem, w piątki bywał na potańcówkach.

– Na potańcówkach? – Kolejne zaskoczenie.

I kolejne ukłucie zazdrości. Ta dziewczyna wiedziała o jego dziadku znacznie więcej niż on.

– W piątki bywał z przyjaciółmi w klubie seniora we Fresno. – Westchnęła.

– Może to nic takiego – bąknął Sam.

– Mam nadzieję.

Usłyszał prawdziwą nadzieję w jej głosie i bardzo go to ujęło.

– Naprawdę go kochasz? – spytał.

– Tak. – Odwróciła się do niego. – Posłuchaj, Sam. – Wymówiła jego imię z naciskiem. Jakby chciała podkreślić, że jest jej obojętny. – Przyjechałeś, żeby zobaczyć się ze swoim dziadkiem, i bardzo mnie to cieszy. Dla jego dobra.

– Ale... ?

– Ale... – Patrzyła mu prosto w twarz. – Uważam, że dopóki tu jesteś, powinniśmy

trzymać się od siebie jak najdalej.

– Naprawdę? – Podeszedł do niej bardzo blisko.

I poczuł, że COŚ między nimi zaiskrzyło. Psiakrew! Wcale sobie tego nie życzył. Miał szczerzy zamiar trzymać się od tej gosposi jak najdalej. Dopóki tego nie zaproponowała.

Maggie energicznie mieszała jajecznicę na patelni. Jeremiasz lubił dobrze wysmażoną. Starła się skupić na gotowaniu, ale w obecności Sama nie było to łatwe.

Uzmysłowiła sobie minionej nocy, że powinna na całe lato usunąć się z rancza. W ten sposób mogła udowodnić młodemu Lonerganom, że tylko pod jej opieką dziadek może poczuć się lepiej.

Prawie całą noc przewracała się w łóżku. Nie mogła zasnąć. Rozmyślała o tym miejscu. Ile dla niej znaczyło. I o starszym panu, który stał się jej rodziną.

Gdyby jednak miała być absolutnie szczerą, musiałaby przyznać, że przed samym świtem myślała też o Samie. O tym, co czuła, kiedy oglądał ją w nocy. Jak gorąco zrobiło się jej pod wpływem jego spojrzenia.

I jak pragnęła przekonać się, co poczułaby, gdyby jej naprawdę dotknął.

– Jajka się palą.

– Co? – Zamrugła gwałtownie, wyrwana z zamyślenia. I odruchowo chwyciła patelnię...

Ból w oparzonej dłoni sprawił, że upuściła ją. Łzy zamgliły jej oczy.

– Cholera! – Sam odstawił kawę na stół, chwycił Maggie za rękę i uważnie obejrzał sparzoną dłoń. Potem pociągnął ją do zlewu, odkręcił zimną wodę i wetknął dłoń pod lodowaty strumień. Westchnęła z ulgą.

– O czym ty, u diabła, myślałaś?

– Nie wiem – skłamała. Spróbowała uwolnić rękę z jego uścisku. Bezskutecznie. – Ja tylko...

– Nie wygląda najgorzej – powiedział. Pogładził jej dłoń z niezwykłą delikatnością. – Nie wrywaj się, muszę dokładnie obejrzeć.

Lekarz, pomyślała.

Coś nagle się zmieniło. Jego dotknięcia stały się mniej profesjonalne, a bardziej... czułe. Obracał jej rękę, oglądał każdy skrawek zaczerwienionej skóry. Maggie zamknęła oczy. Poczła niezwykle mrowienie na karku. Nawet pod lodowatym strumieniem wody jego dotknięcia paliły jak żywym ogniem.

Otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie. Zobaczyła coś ciepłego, niewypowiedzianego. Nagle zabrakło jej tchu. Napięcie między nimi nieznacznie narastało. Nie mogła tego wytrzymać. Usta jej wyschły, głos się łamał.

– Czy z moją ręką wszystko w porządku?

– Masz szczęście. – Jego głos brzmiał dziwnie nisko. – Nie ma pęcherzy.

– To dobrze – mruknęła z trudem.

Ze zdumieniem stwierdziła, że drżały jej kolana. Boże, czy naprawdę było tak gorąco? Czy jej krew wrzała? Należy trzymać się od niego jak najdalej.

Świetny początek, pomyślała.

Palce Sama wciąż głaskały dłoń Maggie, a jej zdawało się, że dotykał jej duszy. Dziwne.

Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego.

W końcu zakreślił wodę i sięgnął po ściereczkę do naczyń. Miękkimi muśnięciami lnianej materii osuszył jej płonąca skórę. Potem uniósł wzrok i zajrzał w jej oczy. Przez mgnienie oka Maggie poczuła, że coś zdumiewającego między nimi się zdarzyło. Szybko wyrwała rękę i cofnęła się o krok.

– Nic ci nie będzie – powiedział. – Ale na przyszłość bardziej uważaj, zgoda?

– Zazwyczaj uważam.

– To dobrze. – Zawahał się. – Jeśli chodzi o minioną noc...

– Co? – spytała podejrzliwie.

Długo się jej przyglądał. Na koniec spuścił wzrok.

– Nic. Nieważne. Chyba dla wszystkich będzie lepiej, jeśli po prostu zapomnimy o minionej nocy.

Oczywiście. Będą udawać, że nie oglądał jej nagiej. Nic trudnego.

– Chyba rzeczywiście tak będzie lepiej.

– Właśnie. – Cisnął szmatkę na blat i wetknął ręce do kieszeni, jakby w obawie, że znów dotknie Maggie. – Myślę, że jeszcze w jednej sprawie miałaś rację. Na pewno lepiej będzie, jeśli przez całe lato będziemy trzymać się od siebie jak najdalej.

– Zgoda. – Maggie wciąż jeszcze starała się wyrównać oddech.

Najwyraźniej Sam Lonergan potrafił lepiej panować nad sobą. Choćby nie wiadomo jak bardzo udawał... Maggie wiedziała, że także poczuł to coś.

– No, to świetnie. Umowa stoi. – Rozejrzał się dookoła, jakby nie wiedział, gdzie jest. Potrząsnął głową. Podeszedł do blatu, gdzie zostawił swój kubek, i ponownie go napełnił. Ruszył do wyjścia, ale w drzwiach się zatrzymał. – Idę wziąć prysznic. Potem pojedę do Coleville. Zamierzam porozmawiać z lekarzem Jeremiasza.

Pokiwała głową, lecz jego już nie było. Wybiegł, jakby się paliło. Widocznie nie tylko dla Maggie to, co zaszło między nimi, było frustrujące.

Przyszło jej na myśl, że Sam Lonergan może być zagrożeniem dla domu, który tak bardzo pokochała.

Nie przypuszczała jednak, że może stanowić zagrożenie także dla niej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wykąpał się w lodowatej wodzie.

Nie pomogło.

Niech to diabli! To miało być okropne lato. Nawet bez tej ponętnej gospodyni o oczach koloru starej whisky i o delikatnych dłoniach.

Sam, rozprowadzając po policzkach krem do golenia, wpatrywał się w lustro. Golił się mechanicznie. W palcach wciąż czuł dłoń Maggie. Nie spodziewał się tego. Nie spodziewał się, że spotka dziewczynę, która zbudzi w nim takie tęsknoty.

Skończył. Obmył twarz i wyprostował się. Woda spływała mu z włosów, ściekała po plecach i piersi. Nie czuł jej. Zaciśnął dłonie na chłodnej krawędzi umywalki i pochylił się, aż dotknął czołem lustra.

Powrót do domu okazał się jeszcze trudniejszy, niż przypuszczał.

Jeremiasz odczekał, aż ucichł w oddali warkot odjeżdżającego samochodu. Dwadzieścia minut później stare auto Maggie także odjechało. Wtedy szybko odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka.

Przeciągnął się. Westchnął z ulgą. W sobotnie poranki na ranchu zawsze mógł liczyć na jedno: Maggie wyjeżdżała co najmniej na dwie godziny. Zjadała wtedy lunch z przyjaciółką Lindą, która pracowała w salonie fryzjerskim w miasteczku. Potem robiła zakupy na następny tydzień.

– Dzięki Bogu, że właśnie dzisiaj Sam pojechał do Berta – powiedział do siebie Jeremiasz. Zrobił kilka przysiadów i skłonów. – Jeszcze godzina w łóżku i zostałbym inwalidą.

Dla człowieka tak aktywnego jak Jeremiasz nie było nic okropniejszego niż długotrwała bezczynność. A co dopiero mówić o leżeniu w łóżku! Miał już prawie siedemdziesiąt lat i doskonale wiedział, że wkrótce poleży całą wieczność. I że nie ma się do czego spieszyć.

Uśmiechnął się do siebie i zamknął drzwi na klucz. Na wszelki wypadek. Następnie wyjął z półki z książkami tom *Wojny i pokoju* i wsunął rękę głęboko do skrytki.

– Ach... – Wyjął jedno z trzech cygar, które mu jeszcze zostały, i prędko je zapalił.

Z prawdziwą rozkoszą zaciągnął się kilka razy. Podszedł do stolika obok łóżka i sięgnął po telefon.

Wybrał numer, radośnie dmuchając gęstym dymem. Czekał, by jego przyjaciel podniósł słuchawkę.

– Bert? Chciałem cię ostrzec, że Sam do ciebie jedzie.

– Niech cię diabli, Jeremiaszu! – zawołał dobry doktor. – Wcale mi się to nie podoba. Mówiłem ci od początku. To głupi pomysł.

Jeremiasz znał to na pamięć. Bert od początku był przeciwny temu planowi. I tylko przez wzgląd na starą przyjaźń w końcu uległ i zgodził się wziąć w nim udział.

Jeremiasz przesunął cygaro do kącika ust i powiedział:

– Teraz nie ma już odwrotu, Bert. Tkwisz w tym po uszy. Ale dobrze wiesz, że nie miałem wyboru.

– Czy okłamywanie wnuków, że jesteś umierający, to naprawdę jedyny sposób, żeby ściągnąć ich do domu?

Jeremiasz ponuro popatrzył prosto w padające przez okno słońce. Przekręcił zameczek i podniósł okno. Powiew świeżego powietrza rozwiał dym z cygara. Bertowi wydawało się, że udawanie własnego umierania to bułka z masłem. Nie, do diabła! Leży człowiek całymi dniami, a wkóło wszyscy wzdychają przez cały dzień. Oszaleć można. Najgorsze, że Maggie tak bardzo się martwiła.

Prawda była jednak okrutna.

– Tak – powiedział do Berta – to był jedyny sposób. Chłopcy nie byli tutaj od...

Zapadła ciężka cisza. Obaj przyjaciele doskonale pamiętali tragedię sprzed lat, która wciąż prześladowała młodych Lonerganów. W końcu Bert westchnął z rezygnacją.

– Wiem – powiedział. – Dobrze, dobrze. Niech ci będzie...

Jeremiasz uśmiechnął się. Gorączkowo zastanawiał się, gdzie też ukrył butelkę burbona. Może było jeszcze za wcześnie, lecz czuł, że odrobina alkoholu dobrze mu zrobi. Wszystko szło zgodnie z planem. Należało to uczcić.

– Dziękuję, Bert. Jestem twoim dłużnikiem.

– Jeszcze jak, stary capie.

Jeremiasz rozłączył się i zachichotał. Zaciągnął się głęboko cygarem i wypuścił pod sufit idealnie równe kółko z dymu.

Coleville nie zmieniło się prawie wcale.

Sam jechał wolno wąską główną ulicą i rozglądał się z zaciekawieniem. Mimo wczesnego sobotniego poranka na chodnikach pełno było przechodniów. I trudno było znaleźć miejsce do zaparkowania auta.

Coleville było małym miasteczkiem. Do najbliższego dużego miasta Fresno było stamtąd ponad siedemdziesiąt kilometrów. Dla przyjemności mieszkańców miasto zafundowało supermarket i kino. Sam spostrzegł także, że przybyło wiele kawiarenek. Były niemal na każdym rogu.

W małych szkołach uczyły się dzieci z miasta i okolicznych farm. A jedyny w mieście lekarz przyjmował w małej klinice na przedmieściu. Wszystkie nagłe przypadki. W razie potrzeby pacjenci byli wезieni ambulansem lub samolotem do szpitala we Fresno.

Sam zatrzymał dziadkowego jeepa na parkingu przed kliniką i wyłączył silnik. Słońce świeciło mu prosto w oczy, odbite w wielkim oknie. Napis na szybie głosił, że tam właśnie przyjmował doktor Bert Evans. Budynek wymagał odmalowania, ale całość sprawiała dobre wrażenie.

Wysiadł z auta, schował kluczyki do kieszeni i ruszył do drzwi. Z każdym krokiem wracały do niego kolejne wspomnienia.

Jako mały chłopiec często przybiegał do kliniki i zamęczał doktora Evansa niekończącymi się pytaniami. Doktor nigdy nie okazywał zniecierpliwienia. Odpowiadał na

każde pytanie. Dawał Samowi stare podręczniki medyczne, żeby chłopiec mógł sam znaleźć resztę informacji.

W tej właśnie małej klinice Sam postanowił, że zostanie lekarzem. Już jako dziecko pragnął pomagać ludziom. Snuł wielkie plany. Bert Evans był dla niego wzorem. Człowiekiem, który wszystkich swoich pacjentów znał jak najbliższą rodzinę. Był nieodłączną częścią lokalnej społeczności.

Wiele zmieniło się od tamtej pory. Sam robił, co mógł i kiedy mógł, by nie wiązać się z żadnym miejscem.

Kiedy otworzył drzwi, przywitał go radosny dźwięk dzwonka i miły chłód klimatyzowanego pomieszczenia. W poczekalni na plastikowym zielonym krzeselku siedziała zmęczona matka trojga dzieci. Posłała mu słaby uśmiech i skinęła głową, kiedy dwoje dzieci próbowało się pozabijać.

Za kontuarem w recepcji siedziała młoda kobieta i z zapamiętaniem stuknęła w klawiaturę komputera. Sam skrzywił się. Podświadomie oczekiwał, że zobaczy starą pielęgniarkę doktora Evansa. Ale ona musiała mieć sto lat już wtedy, gdy on był dzieckiem.

– Czym mogę panu służyć? – Kobieta podniosła wzrok znad klawiatury i uśmiechnęła się ciepło.

– Chciałbym porozmawiać przez chwilę z doktorem Evansem – powiedział Sam. – Proszę mu powiedzieć, że przyjechał Sam Lonergan.

Wstała.

– Może zechce pan usiąść.

Nie zechciał. Kiedy wyszła, zaczął przechadzać się i oglądać stare fotografie na ścianach. Doktor Evans mówił o nich „moje trofea”. Były tam dzieci, które przyjął na świat, i te, które leczył; byli dorośli, którymi opiekował się przez całe życie, aż do śmierci. Tuziny... setki twarzy uśmiechały się do niego. Sam widział tylko jedną.

Na widok znajomego uśmiechu poczuł ten sam co zawsze skurcz serca. Nie mógł oderwać oczu od fotografii. Chłopiec na zdjęciu miał zaledwie szesnaście lat... I nigdy nie miał mieć więcej. Sam odruchowo zacisnął dłonie w pięści. Głosy pokrzykujących za jego plecami dzieci odpłynęły, zginęły w oddali. A on wpatrywał się w twarz osoby, którą mógł uratować, lecz tego nie uczynił.

– Doktor zaraz pana przyjmie. – Szarpnięcie za rękaw przywołało go do rzeczywistości.

– Słucham? – Potrząsnął głową. – Dziękuję.

Nie czekając, ruszył do drzwi. Znajomym korytarzem przeszedł do gabinetu doktora Evansa. Tu także wydawało się, że czas stanął w miejscu. Nic nie zmieniło się przez te długie lata.

Wszystkie ściany zastawione były wysokimi do sufitu półkami pełnymi książek. Biurko jak zawsze zawałone było papierzyskami. Na brzegu zaś stał wielki stół z lizakami dla małych pacjentów.

– Sam! – Starszy pan zerwał się na równe nogi. Z szerokim uśmiechem obszedł biurko. Ujął w obie ręce dłoń Sama i potrząsnął serdecznie. Jego błękitne oczy wciąż patrzyły łagodnie i pogodnie, ale włosy zbieleły mu jeszcze bardziej. – Dobrze znowu cię widzieć,

chłopcze. Tyle czasu. Stanowczo zbyt długo!

– Taaak – przyznał Sam. Znowu poczuł wyrzuty sumienia. – Chyba tak.

– Siadaj, siadaj. – Doktor wskazał mu głęboki skórzany fotel przy biurku. Usiadł i położył dłonie na blacie. – A więc wróciłeś do domu. Widziałeś się z dziadkiem?

– Tak. Wczoraj wieczorem.

– Dobrze, dobrze. To poznałeś też Maggie, prawda?

– Tak, ja...

– Urocza dziewczyna. Jest najlepszym lekarstwem, jakie Jeremiasz mógł sobie wymarzyć. Dzięki niej ten stary głupiec wciąż się uśmiecha. – Splótł palce. – Tak, to naprawdę urocza dziewczyna.

– Wygląda... miło – powiedział Sam, bo musiał coś powiedzieć, a nie mógł zdradzić starszemu panu, jak cudownie Maggie wygląda nago. Poza tym nie przyjechał rozmawiać o Maggie. Szczerze mówiąc, Sam robił wszystko, żeby o niej nawet nie myśleć. Dlatego prędko zmienił temat. – Wracając do mojego dziadka... Co mu naprawdę dolega?

Doktor Evans wymamrotał coś niezrozumiale, opadł na oparcie fotela i zawzięcie tarł brodę, jakby wciąż miał bujny zarost, który zgolił dwadzieścia lat wcześniej.

– No cóż... Właśnie... To jest, hm... Powiadasz, że rozmawiałeś z Jeremiaszem?

– Tak. – Sam przyglądał się starszemu panu podejrzliwie. – Powiedział, że pan dobrze się nim opiekuje i że nie muszę się martwić.

– Tak, właśnie. – Doktor Evans uśmiechnął się słabo. – Zgadza się z nim, Samie. Naprawdę nie musisz się martwić. No właśnie, dobrze cię widzieć, synu.

– Ho, ho. – Sam pochylił się do przodu. Nie odrywał od starszemu panu oczu. Nie zdziwiło go ani trochę, gdy doktor odwrócił wzrok. Najpierw popatrzył w sufit, potem na biurko, by na koniec wyjrzeć za okno. – Czego mi pan nie mówi, doktorze?

– Ależ, Sam – jęknął. – Przecież doskonale wiesz o tajemnicy lekarskiej...

– Nie chcę, żeby złamał pan tajemnicę lekarską – powiedział Sam. – Proszę tylko, jak lekarz lekarza, o trochę faktów. Czy robił mu pan EKG? Jaki ma poziom cholesterolu? Ciśnienie krwi? Czy robił mu pan ostatnio badanie wysiłkowe?

Doktor Evans uśmiechnął się i wstał. Stał za Samem i poklepał go po ramieniu jak studenta, który właśnie zdał ostatni egzamin.

– Bardzo dobre pytania, synu. Cieszę się, że jesteś tak dobrym lekarzem, jak przypuszczałem.

– Dziękuję – powiedział Sam. Pozwolił się popchnąć w stronę drzwi. – Ale nie odpowiedział pan na żadne z tych pytań i...

– O nic się nie martw, Samie. Twój dziadek jest w dobrych rękach.

– Wiem o tym. Chciałem tylko...

– Najlepsze, co możesz zrobić – powiedział doktor Evans, otwierając drzwi i wypychając Sama na korytarz – to odwiedzać Jeremiasza. Bardzo tęskni za wami wszystkimi.

I znowu poczucie winy ścisnęło gardło Sama.

– Wiem – powiedział. – Nigdy nie chcieliśmy...

– Do diabła, chłopcze! – Doktor poklepał go po plecach. – Wiem o tym. Jeremiasz także.

Ale lata lecą i człowiek tęskni za rodziną.

– A jego serce... ?

Doktor Evans skrzywił się leciutko i popatrzył w dal.

– Leczę ludzi dłużej, niż ty chodzisz po świecie, Samie. Nie martw się o kurację Jeremiasza. Trzymam rękę na pulsie. – Jeszcze raz klepnął Sama i zaczął zamykać drzwi. – Dziękuję, że wpadłeś. Chętnie zobaczę cię jeszcze kiedyś.

Sam przytrzymał drzwi.

– Dlaczego mam wrażenie, że próbuje pan mnie spławić?

Niebieskie oczy doktora Evansa zrobiły się wielkie ze zdziwienia.

– Ależ nic podobnego – zawołał. – W gabinecie czeka na mnie pacjent. A w poczekalni następni. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, Sam. Bardzo, bardzo zajęтым.

– Hm. – Sam nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś tu było nie tak. – Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, chciałbym zbadać dziadka.

– Nie licz na to, Sam – powiedział doktor po paru chwilach. – Jeremiasz nie pozwoli. Rozumiem, że niepokoisz się, chłopcze. Ale będziesz musiał zaufać mi, kiedy mówię, że wszystko jest w porządku. – Popchnął drzwi, usiłując je zamknąć. – A teraz, jeśli pozwolisz...

Sam cofnął się. Ze ściągniętymi brwiami stał przez moment przed zamkniętymi drzwiami. Na koniec potrząsnął głową i ruszył korytarzem.

Tymczasem doktor Evans oparł się o drzwi i ciężko westchnął. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła. Wiedział, że nie oszukał Sama. Ale robił, co mógł.

Kłamstwo przychodziło mu z wielkim trudem. Z drugiej jednak strony jego stary przyjaciel miał prawdziwy powód, żeby go o coś prosić.

– Jeremiaszu, stary draniu – wyszeptał. – Naprawdę jesteś moim dłużnikiem.

Maggie żwawo maszerowała główną ulicą. Pozdrowiała mijanych znajomych, ale myśli miała zaprzątnięte zupełnie czymś innym. Dlatego też ucieszyła się, kiedy okazało się, że Lindzie wypadło coś pilnego i nie mogła pójść z nią na lunch.

Bardzo dobrze, pomyślała.

Nie lubiła zostawiać Jeremiasza samego. Zwłaszcza gdy nie czuł się dobrze.

Ciekawe, pomyślała, czego Sam dowiedział się od doktora Evansa?

Niepokój ścisnął ją za gardło. Jeremiasz nie chciał rozmawiać z Maggie o swoim zdrowiu.

Jej myśli same pobiegły do Sama. Znała go zaledwie dobę, ale nie mogła przestać o nim myśleć.

– Maggie, na Boga – mruknęła pod nosem – uspokój się. Masz trzymać się od niego z daleka. Przecież raczej nie zażąda od dziadka, żeby cię wyrzucił ani nic takiego.

Ale mógłby, gdyby zechciał.

Poczuła dreszcze na plecach. Za wszelką cenę starała się zachować spokój. Chociaż to nie było w porządku, że musiała lękać się i o zdrowie Jeremiasza, i o swoją przyszłość.

Zamyślona doszła do parkingu przed supermarketem. Rozejrzała się dookoła i szybkim krokiem weszła do środka. Z ulgą powitała chłód klimatyzowanego pomieszczenia. Słońce stało już wysoko i robiło się naprawdę upalnie.

Z głośników sączyła się spokojna muzyka. W oddali krzyczało dziecko. Maggie wzięła wózek. Położyła torebkę na półeczce przed sobą i ruszyła między regały. Wózek klekotał i skrzypiał, jakby zaraz miał się rozpaść.

– Czy oni już produkują je popsute? – usłyszała za plecami.

Aż podskoczyła przestraszona. Z cichym piskiem zakręciła się na pięcie i stanęła oko w oko z Samem Lonerganem.

– Ale mnie przestraszyłeś!

Odsunął ją delikatnie na bok i ujął uchwyt wózka.

– Wołałem cię trzy razy jeszcze przed sklepem. Potem już w środku, kiedy brałaś ten wspianiały pojazd. – Popchnął wózek.

– Nic nie słyszałam.

Zbyt była zaabsorbowana rozmyśleniem o tym, żeby go zobaczyć. Cóż to mogło oznaczać?

– Jasne. – Wzruszył ramionami.

Zatrzymał się przed skrzynią z sałatą.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Jak widać, kupuję jarzyny – Włożył do wózka dwie główki sałaty i ruszył do półki z zielonym groszkiem.

Maggie przyglądała się mu z niedowierzaniem.

– Wiesz, sama świetnie sobie radzę z zakupami. Zerknął na nią przez ramię.

– Robisz straszny problem z zielonego groszku. Gniewnie sapnęła. W końcu to on wdzierał się w jej życie. Opiekowała się Jeremiaszem od dwóch lat. Nawet cień przypuszczenia, że można by jej cokolwiek zarzucić, dotykał Maggie do żywego.

– Dobrze – powiedziała, dumna, że potrafiła ukryć drżenie głosu. – Możemy zrobić to razem. – Wyjęła mu z ręki paczkę i odłożyła na półkę. – Powinieneś wiedzieć, że twój dziadek nie lubi zielonego groszku.

Nachmurzył się, obrócił ku niej i wzruszył ramionami. Powoli uśmiechnął się.

– Masz rację. Zapomniałem. Babcia często robiła groszek dla mnie i moich kuzynów, ale dziadek nigdy go nie dotykał.

Maggie odpowiedziała uśmiechem. Poczwała rodzące się między nimi ciepło.

– On uwielbia kalafiora – powiedziała. – I brokuły! – Sam roześmiał się.

Spojrzał na nią jasnym wzrokiem i Maggie straciła oddech.

– Powinieneś robić to częściej – powiedziała, kiedy nabrała pewności, że głos jej nie zdrzży.

– Co? – Zapakował w plastikową torbę główkę kalafiora.

– Uśmiechać się.

Pochylił głowę na bok i spojrzał na nią uważnie. W końcu włożył warzywa do wózka.

– Wracam od doktora Evansa – powiedział.

Szli pomału, ramię w ramię. Maggie dołożyła do wózka kilka grejpfrutów, parę cytryn, cebulkę. Nie odzywała się. Nie pytała. Bała się tego, co mogła usłyszeć.

Jeremiasz nie chciał rozmawiać na temat swojej nagłej choroby. A ona nie zadawała

pytań. Może było to tchórzostwo, ale nie chciała stanąć twarzą w twarz z prawdą, która mogła zdruzgotać jej serce.

– Nie spytasz, czego się dowiedziałem? Stanął tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała. Przełknęła z trudem ślinę. Powiedziała sobie, że nie powinna uciekać przed prawdą, i zmusiła się do kiwnięcia głową.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała. – Co mu jest?

– Nie mam pojęcia. – Co?

– Przepraszam. – Tęga kobieta w kwiciastej obcisłej sukience przyglądała się im z dezaprobatą. – Jeśli nie mają państwo nic przeciw temu, chciałabym kupić kilka pomarańczy.

– Przepraszam. – Sam ujął Maggie za łokieć i cofnął się o krok. – Doktor Evans nic mi nie powiedział.

– O Boże! – Maggie zakryła usta dłonią. Patrzyła na niego wielkimi z przerażenia oczami. Skoro doktor nie chciał nic powiedzieć wnukowi Jeremiasza, to mogło oznaczać, że ze starszkiem było naprawdę źle. – Nie jest więc dobrze. Pewnie nie chciał cię martwić.

Zamyślił się.

– To jest prawdopodobne – powiedział. – Ale nie wydaje mi się. – Pokręcił głową. – Nie. To musi być coś innego.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że doktor Evans i Jeremiasz coś knują, i bardzo chciałbym wiedzieć co.

Maggie nie kryła zdumienia.

– Chcesz powiedzieć, że Jeremiasz nie jest chory? To śmieszne. Nie zrobiłby mi tego.

– Być może – powiedział Sam, ale bez przekonania. Maggie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jeremiasz to wspaniały człowiek. Nigdy nie niepokoiłby rodziny bez potrzeby. Powinieneś wiedzieć o tym lepiej ode mnie.

Popatrzył przeciągle na jej dłoń na swoim ramieniu. Maggie cofnęła ją pomału.

– Może masz rację – zaczął powoli – ale chciałbym, żebyś przyglądała się wszystkiemu uważnie.

– Chcesz, żebym szpiegowała twojego dziadka?

– Szpiegować to zbyt wielkie słowo.

– Ale odpowiednie. – Maggie pokręciła głową.

Zrobiła krok w bok, żeby przepuścić jakiegoś klienta. Sam zmarszczył brwi, wziął Maggie pod rękę i popchnął wózek w mniej zatłoczony kąt.

Rozejrzał się dookoła, czy nikt ich nie słyszy, i pochylił się ku niej.

– Przecież nie namawiam cię, żebyś go zdradziła. Proszę tylko, żebyś mi pomogła.

– Jeszcze dwie godziny temu – szeptała gorączkowo – twierdziłeś, że przez całe lato powinniśmy trzymać się jak najdalej od siebie. A teraz prosisz mnie, żebym współpracowała z tobą przeciwko człowiekowi, który zrobił dla mnie tyle dobrego.

Sam dotknął dłonią twarzy Maggie. Ujął ją za ramię i przyciągnął do siebie. Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy. Serce jej załomotało.

Krew zadudniła w uszach.

– Sytuacja się zmieniła, Maggie – rzucił. – Teraz mówię, że potrzebna mi twoja pomoc. Boję się o Jeremiasza. Tak jak ty. – Jego wzrok, jak pieśczoła, sunął po jej twarzy. Oblizął wargi. Westchnął i uwolnił jej rękę. Cofnęła się o krok. – Pytanie, tylko, czy ty zechcesz współpracować ze mną, żeby wyjaśnić, co tu się dzieje?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następne trzy dni upłynęły pod znakiem trudnego zawieszenia broni. Maggie starała się nie wchodzić w drogę Samowi, a on nie wtrącał się w jej życie. Hm... Tak naprawdę było to jednostronne zawieszenie broni.

Sam pojawiał się nagle i wszędzie. Kiedy zajmowała się czymś w ogródku, widziała go opartego o węgiel domu, uważnie śledzącego każdy jej ruch. Kiedy gotowała, zawsze okazywało się, że miał jakąś sprawę w kuchni. I wciąż wtrącał się w dietę dziadka. Kiedy ona zmywała, kręcił się tuż obok. Jakby pilnował, czy nie ukradnie rodowych sreber czy czegoś podobnego.

I stale, bez przerwy, czuła na sobie jak dotknięcia dłoni spojrzenia jego ciemnych oczu.

Właściwie tylko wieczorami, kiedy była już w swoim domku, nie miała wrażenia, że jest nieustannie obserwowana. Ale nawet wtedy nie miała spokoju. Wtedy bowiem śniła o Samie.

O jego ciemnych oczach. O doskonale wykrojonych ustach, smukłych palcach i muskularnym ciele. W jej snach robił więcej, niż tylko na nią patrzył. W snach trzymał ją w objęciach, całował, smakował, rozkoszował się każdym skrawkiem jej ciała. I każdego ranka budziła się trochę bardziej zdenerwowana niż poprzedniego wieczora.

Miała wrażenie, że każdy jej nerw żarzył się wewnętrznym ogniem. Była tak spięta, że z trudem oddychała. A serce tłukło się ciężko i gwałtownie.

Z rękami po łokcie w gorącej wodzie Maggie wycisnęła gąbkę z piany, wypłukała starannie talerz i odłożyła na suszarkę. Potrząsnęła głową. Ziewnęła. Zmrużyła zmęczone oczy i wyszeptała:

- Minęły dopiero trzy dni. Jeśli tak dalej pójdzie, nie dożyję końca lata.
- Słucham?

Podskoczyła wystraszona tak gwałtownie, że się ochlapała. Odetchnęła głęboko, spojrzała za siebie i zobaczyła stojącego w drzwiach Sama.

– Masz przestać podkradać się do mnie! – warknęła. Na mgnienie oka uśmiech uniósł mu kąćki warg.

– Usłyszałaś mnie, gdybyś nie mówiła do siebie – zauważył.

– Masz rację. – Czubkami palców spróbowała odkleić od brzucha mokrą bluzkę. Po chwili poddała się i wróciła do zmywania. – Zanim zapytasz, powiem...

– odezwała się polubownie – Jeremiasz zjadł obfite śniadanie. Jajka. Bekon. Tost i sok.

– Bomba cholesterolowa dla pacjenta chorego na serce. Doskonale.

Odwróciła się. Popatrzyła srogo.

– Już to przerabialiśmy – powiedziała, siląc się na spokój. – To był bekon z indyka, jajka z proszku i tost z białego pieczywa. Idealnie zdrowe.

Podszedł do niej z ponurą miną. Skrzyżował ręce na piersi.

– Przepraszam – powiedział.

– O! – odparła Maggie. – Przeprosiny. To takie podniecające.

Z ciężkim westchnieniem pokręcił głową.

– Chyba winien ci jestem więcej niż przeprosiny, prawda?

Maggie zakręciła wodę. Wytarła ręce i obróciła się twarzą do Sama. Uznała, że skoro był już w nastroju do rozmowy, to powinna łapać okazję.

– Chodziłeś za mną przez ostatnie trzy dni bez przerwy – powiedziała cicho. – Zupełnie, jakbyś usiłował znaleźć coś przeciwko mnie. Jakbyś podejrzewał, że robię jakąś krzywdę twojemu dziadkowi. Chciałabym wiedzieć dlaczego.

Wpadające przez okno słońce rozjaśniło mu twarz. Rozświetliło jego smutne oczy.

– Ponieważ doprowadza mnie to do szaleństwa – przyznał po chwili. – Dziadek nie chce rozmawiać ze mną. Oświadczył, że nie powie ani słowa, dopóki nie przyjadą moi kuzyni, Cooper i Jake.

Jeszcze więcej Lonerganów będzie patrzeć jej na ręce. Hura!

– Kiedy to nastąpi? – spytała.

Odepchnął się od blatu. Wcisnął ręce do kieszeni i zaczął spacerować.

– Nie wiem – odparł. – Jake był gdzieś w Hiszpanii, startował w jakimś rajdzie, kiedy staruszek po niego posłał. A Cooper... Kiedy pracuje, kryje się gdzieś na odludziu. Bóg jeden wie, czy w ogóle odebrał wiadomość.

– Czytałam kilka jego książek – powiedziała Maggie.

– Co o nich myślisz?

– Są przerażające. – Uśmiechnęła się leciutko. Gdy przeczytała ostatni thriller Coopera Lonergana, tak się bała, że przez tydzień na całą noc zostawiała włączone światło w sypialni. Wizje, które stworzył, były tak realistyczne, że zastanawiała się, w jaki sposób mógł w ogóle spokojnie spać. – On musi być przerażającym człowiekiem... Ma naprawdę pokręconą wyobraźnię.

Sam smutno się uśmiechnął.

– Nic bardziej mylnego – powiedział. – Cooper zawsze był najweselszy z nas wszystkich. Nie przejmował się niczym. Przynajmniej do czasu, kiedy... – głos mu się załamał. – ...wszystko się zmieniło.

Serce Maggie ścisnęło się. Naprawdę współczuła im wszystkim.

Chciało jej się krzyczeć, że przecież minęło już piętnaście lat. Wystarczająco długo, by pogodzić się z tragedią.

Powiedziała tylko:

– Może powinieneś spróbować raz jeszcze porozmawiać z doktorem Evansem...

Sam parsknął śmiechem.

– O, tak. To na pewno wiele da. Wciąż będzie mrucał o tajemnicy lekarskiej. Nie. Cokolwiek tu się dzieje, Jeremiasz i doktor są w zмовie. I obaj są zbyt uparci, by to przerwać.

– Upór to zdaje się wasza cecha rodzinna.

– Tak? – Sam wysoko uniósł brwi.

– No cóż – powiedziała ostrożnie. – Mówiłeś, że obaj nie mają zamiaru nic ci powiedzieć, a mimo to nie przestajesz próbować. Czy to nie jest upór?

– A może poświęcenie?

Maggie roześmiała się. I zobaczyła w jego oczach iskierki zadowolenia. To sprawiło, że zrobiło się jej ciepło na sercu. Ręce zaczęły drżeć. Prędko ściągnęła wiszącą na ramieniu ściereczkę do naczyń i wplotła ją między palce. Wykonała kilka krótkich, urywanych wdechów. Spróbowała wziąć się w garść.

– Co to? – spytał niespodziewanie Sam. Serce Maggie na moment stanęło.

Wyrzała przez okno i zobaczyła sąsiadkę, Susan Bateman, pędzącą przez podwórze. W ramionach trzymała swoją czteroletnią córeczkę Kathleen.

– To Susan – powiedziała Maggie, idąc spieszenie do kuchennych drzwi. – Mieszka razem z rodziną na sąsiednim ranczu. Musiało stać się coś złego.

Otworzyła drzwi i po chwili Susan wpadła do kuchni. Miała bladą twarz i wielkie z przerażenia oczy. Jej biała spódnica była poplamiona krwią. A dziewczynka na jej rękach przeraźliwie szlochała. Susan minęła Maggie i zwróciła się do Sama.

– Pan jest lekarzem, prawda?

– Susan – zaczęła Maggie – co...

– Słyszałam w mieście – ciągnęła kobieta – że jest pan lekarzem. Jest pan, prawda?

Sam wpatrywał się w nią w napięciu. Wyglądał, jakby chciał zaprzeczyć. Dostrzegł jednak w jej oczach tyle desperacji... I ten przeraźliwy płacz dziecka...

– Taaak – wydusił. – Jestem.

– Dzięki Bogu – powiedziała Susan. – Katie bawiła się przy płocie i zraniła się w rękę. Do was jest dużo bliżej niż do miasta, więc natychmiast przybiegłam.

W tym momencie dziewczynka uniosła główkę i popatrzyła na Sama i Maggie pełnymi łez oczami.

– Mam tu kuku i leci mi krew – wyszlochała. – Ach, kochanie. – Maggie odgarnęła jej włosy z czoła. – Wszystko będzie dobrze. Sam na pewno coś poradzi. Zobaczysz. Mała spojrziała na Sama. Usta jej drżały.

– Czy będzie bolało? – spytała.

Sam zagryzł wargi. Przeciągnął dłonią po twarzy i burknął:

– Powinna pani pojechać z nią do miasta. Trzeba zrobić jej zastrzyk przeciw tężcowi.

– Nie chcę zastrzyków, mamusiu! – Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie.

Susan zaś zdawała się nie słyszeć krzyku. Nie odrywała oczu od doktora.

– Tym zajmiemy się później – powiedziała. – Ona cierpi. Potrzebuje natychmiast pomocy.

Maggie dostrzegła wahanie Sama. Zaintrygowało ją to.

– Dobrze – powiedział, chociaż z wyraźną niechęcią. Pochylił się nad dzieckiem. – Maggie – rzucił, badając długą ranę na ramieniu dziewczynki – pójdź na górę. W moim pokoju stoi torba lekarska.

– Dobrze. – Maggie wybiegła z kuchni. I bardzo szybko wróciła.

Dziewczynka siedziała na brzegu stołu obok zlewu. Sam ostrożnie przemywał ranę pod kranem.

– Ciągłe leci krew! – zawołała Katie. Machała przy tym nóżkami, kopiąc szafkę. Sam uśmiechnął się do niej.

– To dlatego, że masz bardzo sprytną krew – powiedział.

– Naprawdę? – chlipnęła.

Wytarła drugą rączką zaczerwienione oczy.

– Tak. Twoja krew właśnie czyści ranę. Bardzo sprytna krew.

– Mamusiu! – zawołała mała, wyraźnie uszczęśliwiona. – Jestem sprytna.

– Jeszcze jak, kochanie – odpowiedziała Susan. Uważnie śledziła każdy ruch Sama.

– Przyniosłam twoją torbę. – Maggie podeszła bliżej i postawiła torbę obok dziewczynki.

Czule pogłaskała ją po policzku.

Przyglądała się pracującemu Samowi poruszona delikatnością jego poczynań. Znała go już trzy dni, lecz dopiero teraz dostrzegła odruch jego serca.

– Dziękuję – powiedział Sam. Ostrożnie osuszył ranę papierowym ręcznikiem. – Katie, nie wierz się teraz przez chwilę, bo robię opatrunek.

– Dobrze.

Sam wyjął z torby niewielki pakunek.

– A tutaj mam motylkowe bandaże – powiedział.

– Motylkowe? – Ciekawość wzięła górę nad strachem i Katie z zaciekawieniem przypatrywała się, jak Sam dociskał brzegi rany i owijał jej rękę bandażem.

Na koniec sprawdził jeszcze, czy opatrunek nie jest zbyt ciasny. Spojrzał małej w oczy i uśmiechnął się.

– Skończone – powiedział. – Byłaś bardzo dzielna.

– I sprytna – dodała z dumą Katie.

Uśmiechnęła się do niego uśmiechem, który podzielał jak uderzenie. Sam wzdrygnął się. Zawsze tak reagował w kontaktach z dziećmi. Z ludźmi słabymi i bezbronnymi. Z oczami pełnymi łez i ślepym zaufaniem w sercach.

Wyprostował się, podniósł dziewczynkę z blatu i postawił na podłodze. Zamknął torbę i zwrócił się do jej matki:

– Nic jej nie będzie. Ale powinna pani pojechać do doktora Evansa, żeby zrobił przeciwțęczowy... – Urwał i zerknął na dziecko. – Żeby zrobił to, o czym mówiłem wcześniej.

– Pojadę. – Przytuliła córeczkę. – I dziękuję. Bardzo dziękuję.

– To nie było nic poważnego – powiedział Sam uspokajająco. Pełne wdzięczności spojrzenia Susan i Maggie wyraźnie go krępowały.

– To jest moja ukochana córeczka. – Susan mocniej przytuliła małą... – A to oznacza, że wszystko jest dla mnie poważne.

– Rozumiem – powiedział.

I było tak naprawdę. Bardzo starał się zachować emocjonalny dystans w takich sytuacjach.

Odeszły. Katie jeszcze z oddali machała do niego rączką. Zostali sami. Sam wyraźnie czuł ciekawość dręczącą Maggie.

– Świetnie radzisz sobie z dziećmi – powiedziała. Zmusił się, by spojrzeć je w oczy. Dostrzegł tam błysk zainteresowania. W normalnych okolicznościach, gdyby dziewczyna taka

jak Maggie patrzyła na niego w taki sposób, cieszyłby się. Tym razem było inaczej. Czekali ich długie wspólne lato. Po trzech miesiącach on zamierzał wyjechać, a ona chciała pozostać na ranchu Lonerganów jak najdłużej.

– Prawie nigdy ich nie gryzę – próbował obrócić wszystko w żart.

Pochyliła na bok głowę i przyglądała mu się uważnie.

– Jeremiasz powiedział mi, że pracujesz dla „Lekarzy bez granic”.

– Czasami – odparł sucho.

Chciał zniechęcić ją do dalszej rozmowy na ten temat.

– I powiedział jeszcze – ciągnęła, niezrażona – że kiedy tego nie robisz, pracujesz w szpitalnych oddziałach ratunkowych w całym kraju.

Prawda. Wciąż był w ruchu. Nigdy nie zatrzymywał się w jednym miejscu na tyle długo, by żyć się z ludźmi, którymi się opiekował. Nie pozwalał sobie na takie związki, które prowadziły do cierpienia.

Nachmurzył się.

– Jeremiasz mówi za dużo – powiedział ponuro.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedziała cicho Maggie. Było coś w jej głosie, co powstrzymało go od wyjścia z kuchni. – Dlaczego ktoś taki jak ty nie chce osiąść gdzieś na stałe? Zacząć własnej praktyki?

Poczuł ucisk w piersi. Nagle zabrakło mu tchu. Jakby otrzymał potężny cios w żołądek. Mieszkała na ranchu dopiero od dwóch lat, a już zdołała odcisnąć w tym miejscu swój ślad.

Wszędzie znać było jej obecność... Kwiatuszki, świeczuszki... Ozdóbki w każdym pokoju. W całym domu pachniało olejkiem cytrynowym, każdy mebel lśnił wypolerowany. Zadomowiła się. Zapuściła korzenie na tej ziemi, która go wychowała.

Nie, Maggie nie była w stanie zrozumieć, dlaczego Sam nie chciał tego samego.

Gdyby sprawy miały się inaczej, zapewne pragnąłby stabilizacji. Ale bardzo wcześnie nauczył się, że miłość i wrażliwość zawsze przynoszą cierpienie. I dlatego postanowił trzymać się na uboczu. Zamknąć swe serce.

– Lubię być w ruchu – powiedział.

Nawet on usłyszał, jak niezręcznie to zabrzmiało. W tej lśniącej czystością i słonecznym światłem kuchni część jego duszy marzyła, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Żeby był inny.

Ale żadne marzenia nie cofną czasu.

– Wcześniej – Maggie najwyraźniej nie miała zamiaru kończyć tej rozmowy – powiedziałeś mi, że nie jesteś dobrym człowiekiem.

Zastygł z rękami na torbie lekarskiej, z którą nigdy się nie rozstawał.

– Bo to prawda – powiedział.

– Nie – zaprotestowała cicho, a on nie mógł oderwać od niej wzroku.

Słońce za plecami Maggie tworzyło wokół niej złotą aureolę. Patrzyli sobie prosto w oczy. I Sam poczuł potrzebę ostrzeżenia jej. Chciał powiedzieć, że to, co mogła wypatrzeć na dnie jego duszy, naprawdę nie było warte oglądania.

– To nie jest prawda – powiedziała. I uśmiechnęła się samymi kącikami warg. – Chociaż

pewnie chciałbyś w to wierzyć. Ale tak nie jest.

– Nie znasz mnie – zaproponował. Rozpaczliwie usiłował przełamać ten dziwny czar, który zaczynał ich łączyć. Wziął torbę i zrobił kilka kroków ku drzwiom.

Głos Maggie go zatrzymał.

– Może i cię nie znam – powiedziała ledwie słyszalnie – ale naprawdę nie wiesz, że jesteś dobry.

– Nie powinnaś przychodzić tutaj sama.

Rytm ruchów Maggie został zakłócony, kiedy obróciła się na wodzie, żeby spojrzeć na stojącego na brzegu jeziora mężczyznę. W świetle księżyca wyglądał naprawdę... fantastycznie.

Myślała o nim cały dzień, chociaż starannie unikał jej, schodził z drogi, znajdował sobie wciąż nowe zajęcia na ranczu. Naprawił płot, umocnił ruszający się schodek na ganku, wyczyścił puste stajnie.

A Maggie korzystała z każdej nadarzającej się sposobności, by mu się przyglądać, napawać się jego widokiem. Pracował jak człowiek szukający zapomnienia. Jak ktoś usiłujący uciec od własnych myśli. Kiedy popołudnie rozpałiło się upałem, zdjął czarną koszulkę. Jego opalone, muskularne ciało oczarowało Maggie.

Żar wypełnił jej duszę i wyglądało na to, że zostanie tam na stałe. Przez cały dzień poruszała się jak we mgle. Oczy przysłaniała jej pożądanie. Nie krepowało jej, że pożądała Sama. Sprawa była jasna i prosta. W domu był czarujący mężczyzna, brunet o zabójczym spojrzeniu, głębokim głosem i delikatnych dłoniach. Jakaż dziewczyna by się oparła?

Skrępowanie Maggie wynikało z tego, że wiedziała, że i on jej pragnął. I że robił wszystko, by unikać jej towarzystwa. Ale w końcu tak właśnie umówili się, czyż nie? Trzymać się od siebie z daleka...

W takim razie czemu teraz przyszedł? Nieustannymi ruchami nóg i rąk Maggie utrzymywała się na powierzchni wody.

– Przychodzę tu sama od dwóch lat. Jestem absolutnie bezpieczna.

– Bywałem tutaj każdego lata, przez całe życie. Wystarczył jeden raz...

– Sam... – Jeśli mieli kontynuować tę rozmowę, nie chciała prowadzić jej, kopiąc zapamiętałe wodę.

Kilkoma silnymi ruchami nóg i ramion zbliżyła się do brzegu. Woda spływała jej po ramionach. Wykręciła długie włosy i odrzuciła je na plecy. Stała tuż przed Samem.

Omiótł ją szybkim, uważnym spojrzeniem.

– Już nie pływasz nago?

Spojrzała w dół, na czarny jednoczęściowy kostium, który miała na sobie. Podniosła oczy. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Ostatnio stałam się trochę ostrożniejsza. Nagle uśmiech zniknął z jego oczu. Chwytał Maggie za ramię, mocno zacisnął palce i przyciągnął ją ku sobie.

– Mam nadzieję, że tak jest – powiedział głucho. – Nie nurkujesz tutaj, prawda? Nie skaczesz z brzegu?

– Nie – odparła prędko, bardziej ponaglona przerażeniem w jego oczach niż

stanowczością głosu. – Przyszłam tylko popływać. Ochłodzić się.

Wbił wzrok w ciemne lustro wody za jej plecami. Spróbowała zajrzeć w głąb jego oczu, poprzez zasłone wspomnień, które nim zawładnęły. Ale zobaczyła tylko piękno. Jak zawsze, to miejsce uspokajało ją, wypełniało duszę ciepłem. Czuła delikatne powiewy wiatru wśród drzew. I chłodne krople wody na skórze. A wszystko spowite w bladą, księżycową poświatę.

– Tutaj jest tak pięknie – powiedziała bardzo cicho.

– To prawda – przyznał niechętnie. Zwolnił nieco uścisk, lecz nie puścił jej ramienia. – Już zapomniałem.

– Sam. – Uniosła głowę i czekała, aż spojrzy jej w oczy. – Ja... wiem, co stało się tutaj piętnaście lat temu. Wiem, dlaczego ty i twoi kuzyni wyjechaliście i nigdy więcej nie wróciliście.

Chwyił ją za ramiona. Mocno zacisnął palce. Potrząsając głową, spojrzał na Maggie z góry. Zrobił długi, głośny wdech.

– Nie możesz wiedzieć. Nie możesz wiedzieć, jak to jest być tak młodym i utracić wszystko.

Uniosła rękę i zamknęła w dłoni jego policzek. Serce ścisnęło się jej, *gdy* ujrzała dawny ból w jego oczach.

– Wiem, jak to jest nie mieć nic, co można by stracić – powiedziała. – Wiem, że wciąż masz tak dużo... Ale za nic nie chcesz tego zobaczyć.

Przyciągnął Maggie ku sobie i pochylił się nad nią. Spojrzała mu w oczy i nie mogła już się od nich oderwać. Dręczące ją tak długo pożądanie wyrwało się i sprawiło, że każdy nerw dziewczyny zapłonął żywym ogniem. Żołądek zwinął się jej w twardą kulę. I coś ścisnęło jej gardło.

– Rozgryzłaś mnie – przyznał. – Gdybym mógł przestać, przestałbym.

Serce Maggie ruszyło z kopyta. W ustach jej zaschło.

– Wiem. – Nie była głupia.

Wiedziała, że to wielki błąd angażować się w związek z mężczyzną, którego obecność była zagrożeniem dla niej na ranczu, które tak pokochała. Jednak tak wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy ostatnio czuła podobne... pragnienie. A jeszcze nigdy w życiu nie doznała aż takiego wrażenia. Ilekroć Sam zbliżał się do niej, jakby prąd elektryczny przenikał jej ciało.

– Powiedziałem ci już, że nie jestem dobrym człowiekiem – powiedział. – Musisz mi uwierzyć.

– Nie.

Zacisnął powieki i oparł się czołem o czoło Maggie. Kolejna fala gorąca spłynęła po jej ciele.

– Uwierzysz, Maggie – powiedział. – Boże! Uwierzysz, i to szybko.

Znów powróciło skrępowanie.

I wtedy Sam przycisnął usta do jej ust. I Maggie przestała myśleć. Nie chciała myśleć. Chciała tylko czuć. Objął ją, przycisnął do siebie jej zimne, wilgotne ciało. Maggie gotowa była przysiąc, że dostrzegła obłoczek pary pomiędzy nimi.

Kiedy przerwał pocałunek, poczuła żal. Wielką pustkę. I słabość w kolanach. Każda

komórka jej ciała wibrowała. Widziała wyraźnie, że Sam z trudem łapie oddech. Czuła, jak drżał.

Podniósł głowę, spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział:

– To wielki błąd.

– Prawdopodobnie.

– Pragnę cię – przyznał. – Bardziej, niż powinienem. Z trudem łapiąc powietrze, Maggie uśmiechnęła się do niego. Wciąż nie mogła zapomnieć wrażenia, jakie zrobił na niej ten pocałunek.

– I ja ciebie pragnę, Samie. Czy to wielki błąd, czy też nie.

– Dzięki Bogu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzwonki alarmowe rozdzwoniły się w głowie Sama. Głośno i przeraźliwie. Powinien ją zostawić. Zrobić wielki krok do tyłu i spędzić resztę nocy na próbach zapomnienia jej smaku. Jej zapachu.

Lecz nie stało się nic takiego.

Pocałował Maggie. Jeszcze mocniej i zachłanniej. Aż zadygotała i cicho westchnęła. Zarzuciła mu ręce na szyję, wplotła palce we włosy. Delikatnie drapała go po karku. Mróz przeszedł mu po kościach, a krew zawrzała w żyłach.

Dzwonki alarmowe hałasowały coraz głośniej, lecz Sam zupełnie je zignorował. Nie mógł odejść. Nie potrafił odwrócić się plecami od pożądania, głodu silniejszego niż cokolwiek, co poczuł w życiu.

Gorący letni wiatr zawirował wokół nich i Sam jeszcze głębiej pogрузzył się w pragnieniach. Uniósł Maggie, zaniósł na chłodną trawę z dala od brzegu i położył się obok.

Porzucił jej usta. Obsypał pocałunkami brodę, szyję, aż po załamanie ramienia. Upajał się jej zapachem, odległym śladem szamponu kwiatowego w jej włosach, świeżym aromatem wody z jeziora na jej skórze. Z każdą chwilą wypełniał go coraz większy żar. Coraz potężniejszy głód ponaglał go dalej i dalej.

Maggie westchnęła, głaskała go po ramionach. Nawet przez koszulkę czuła gorąco jego skóry. Sam drżał. Uniósł głowę i zajrzał jej głęboko w oczy. Dostrzegł w nich odbite światło księżyca i blask pożądania. Wzięła w dłonie jego twarz, przyciągnęła ją. Pocałowała z niespotykaną delikatnością. Z delikatnością, która poruszyła go do głębi.

I cała delikatność odeszła w zapomnienie. Jak uderzenie pioruna coś zachwycającego przeszło Sama, odebrało mu dech w piersi, rozpałiło żądze.

Jęknął głucho. Jego dłonie rozpoczęły wędrówkę wzdłuż ciała Maggie. W górę i w dół. Smakował rozkoszny chłód jej kostiumu kąpielowego i obiecujące gorąco bijące z ciała. Spełniły się jego marzenia. Myślał o takiej chwili od wielu dni. Marzył, że ją dotykał. Wyobrażał sobie pod palcami gładkość jej skóry. Muśnięcia warg. Powiew oddechu.

W ciągu kilku krótkich dni ich znajomości Maggie zawładnęła bez reszty jego myślami. Gdzieś na dnie duszy wciąż martwił się o dziadka. Niepokoił się o konsekwencje swego powrotu na ranczo. Ale całkiem inna część jego umysłu wciąż zajęta była myślami o niej. Od pierwszego spotkania między nimi zaiskrzyło. Poczul coś, czego dotąd nie znał. Coś, o czym bał się nawet myśleć.

Tymczasem wystarczyło mu, że była z nim. Że mógł jej dotykać.

Pod wpływem dotyku Sama Maggie westchnęła.

Obsypała go pocałunkami. Nie przestawała ani na moment. Jej ręce błądziły po jego ciele. Chwyciła koszulkę i wyciągnęła ją ze spodni, odsłaniając tors. Położyła mu dłonie na nagiej skórze, jakby znakowała go rozpalonym żelazem... Budziła w nim pragnienie, by jej ręce pokryły go całego.

Usiadł gwałtownie. Zerwał z siebie koszulkę i cisnął za siebie. Wpatrywał się w nią,

oddychając coraz szybciej, a ona pomalutku zsuwała z ramienia ramiączko kostiumu. Potem drugie. Jej ciało stopniowo wyłaniało się spod elastycznego materiału.

Serce Maggie waliło szalonym rytmem. Krtań miała ściśniętą. Sam ujął ją za rękę. Ścisnął.

– Pozwól mi – szepnął.

Kiwnęła potakująco głową i zacisnęła powieki. Po chwili leżała całkiem naga, skąpana w księżycowej poświacie. Jasne plamy nieopalonej skóry jasno świeciły. Sam zapragnął zobaczyć ją w tym bikini, które zostawiło te ślady.

– Dzisiaj włożyłaś jednoczęściowy strój – powiedział i uśmiechnął się.

Uśmiechnęła się także. Wyciągnęła do niego rękę. – Pomyślałam, że tak będzie... bezpieczniej, gdybym przypadkiem natknęła się na ciebie. Spoważniał. Popatrzył jej w oczy.

– Chcesz być bezpieczna? – spytał.

Pokręciła głową.

– Nie. Chcę ciebie.

– Miło słyszeć. – Sam...

– Przez całą noc marzyłem o tym – wyznał. Pogłaskał ją po szyi. Maggie przeciągnęła paznokciami po jego piersi.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Za wszelką cenę starał się zapanować nad sobą. Nad sytuacją. Daremny trud. Mając pod sobą taką kobietę, nie miał żadnych szans. Panowanie nad sobą było mu niepotrzebne. Pragnął jedynie zaspokoić ten wielki głód.

Maggie zachłysnęła się powietrzem, jakby tonęła. I wyciągnęła ku niemu ramiona.

– Nie zwlekaj – powiedziała.

Odchyliła głowę do tyłu, ani na moment nie odrywając od niego oczu.

– Och... Sam...

Fantastycznie, pomyślał. Cudownie.

Zapamiętali się w odwiecznym tańcu, wśród rozpalających ich płomieni namiętności. Razem poddali się ogarniającym ich żądzom. Świat wokół nich zniknął, przepadł... Zostali tylko oni dwoje. Spowici pożądaniem, odarci z myśli, logiki i ostrożności.

Zagubieni w powiewach wiatru, w krzyku nocnych ptaków, zmierzali ku spełnieniu. Kobierzec trawy był im łóżkiem, rozgwieżdżone niebo – powałą. Zamknięci w ciemnościach nocy, w sobie samych.

Ich spojrzenia spotkały się. Każdy ruch zbliżał ich ku nieodwracalnemu. Ciała zaczęły drżeć w namiętności. Rozkosz wypełniała im żyły, gotowała krew. Maggie czuła na policzku urywany oddech Sama. Widziała burzę w jego oczach.

Zbliżała się do granicy szaleństwa. Nie umiała znaleźć odpowiednich słów, by opisać, co czuła. Mogła tylko chłonąć radość tej chwili. Dygotała. Obejmowała Sama ze wszystkich sił. Jakby od tego zależało jej życie.

Samowi zdawało się, że już nigdy nie zdoła się podnieść. Serce mu waliło, omal nie łamiąc żeber. Wtulony w Maggie, czuł gwałtowne bicie jej serca. I wiedział, że przeżyła to, co i on. Uniósł się na łokciach i spojrzał wprost w jej oczy.

– Wszystko w porządku? – spytał. Oblizwała wargi i parsknęła śmiechem. Uśmiechnął się.

Wierzchem dłoni musnął jej piersi.

Maggie opuściła ręce na trawę. Podłożyła sobie pod głowę. Wyglądała jak bogini Ziemi. Blade światło księżyca lśniło na jej skórze. Wysokie, zielone źdźbła trawy otulały ją dookoła. Długie, wciąż mokre włosy rozsypały się wokół głowy. W oczach miała żądzę i namiętność. Jak Sam.

– Maggie – szepnął. Schylił się do jej ust.

Maggie odrzuciła do tyłu głowę. Pozostali zwarci w uścisku jak rozbitkowie na morzu.

Czas płynął nieubłaganie. Maggie nie umiała powiedzieć, czy były to minuty, czy godziny. W końcu udało się jej odzyskać oddech. Podniosła głowę z ramienia Sama.

– Noc robi się zimna, chociaż to lato. Zmarzniemy – powiedział wtulony w jej kark.

– No tak. – Maggie zaśmiała się cichutko. – To by mogło być krępujące, prawda? Nagie, zlodowaciałe postacie odnalezione przez jakiegoś ubogiego ranczera.

Nie odpowiedział i uśmiech Maggie z wolna zbladł. Westchnęła cicho. Gdy minęła namiętność, chłód nocnego wiatru stał się dokuczliwy. Zadrżała.

Sam zauważył to. Pochylił się, sięgnął za jej plecy i podał jej sukienkę.

– Powinnaś nałożyć – powiedział.

Skrzywiła się. Wciągnęła sukienkę przez głowę i przyglądała się, jak wkładał dzinsy. Kiedy je zapiął, odwrócił się ku Maggie.

– Widzę, że czar przysł – powiedziała. Wyciągnęła ku niemu rękę. Ujął ją i pomógł jej wstać.

– Maggie... – Przesunął dłonią po twarzy. Potrząsnął głową. Schylił się i podniósł z trawy swoją koszulkę. Zacisnął pięści i powiedział:

– Nie chcę, żebyś myślała, że...

– Nie myśl o tym – przerwała mu. – Jeśli chcesz powiedzieć mi, że to wszystko... – zatoczyła szeroko ręką – .. . nie ma żadnego znaczenia, nie martw się. Nie oczekuję jakichś zobowiązań czy deklaracji.

Poczuła lekki żal. Miała w swoim życiu tylko jednego mężczyznę, bo zdawało się jej, że była zakochana. A przecież uważać, że jest się zakochanym, i być zakochanym, to dwie różne rzeczy. Ale nawet wtedy nie czuła takiego pożądanego, jakie Sam budził w niej od samego początku.

To, co stało się przed chwilą, było nieuniknione, pomyślała. Ale dokąd to nas zaprowadzi?

Nie wiadomo.

– Ale... – zaczął.

Maggie przerwała mu szybko.

– Musisz wiedzieć, że nie sypiam z mężczyznami, których znam krócej niż tydzień. – Chciał odezwać się, lecz mu nie pozwoliła. – To było tylko...

– Wiem – rzucił. – Ty także zrobiłaś na mnie piorunujące wrażenie.

– Naprawdę? Uśmiechnął się krzywo.

– Od kilku dni doprowadzałaś mnie od szaleństwa.

– Ty mnie też – wyznała z cichym westchnieniem. – To znaczy, też mnie drażniłeś.
Sam wciągnął koszulkę przez głowę.
– Nie przyszedłem tu po... – przerwał. – Chodzi mi o to, że nie planowałem tego.
– Co zatem planowałeś?
– Sam chciałbym wiedzieć. – Wzruszył ramionami i zapatrzył się gdzieś w dal. Potem przeniósł wzrok na Maggie. – Chyba chciałem zobaczyć się z tobą.
– Cieszę się, że przyszedłeś.
– Ja też, ale... – Ale... ?
– Chyba jest już trochę za późno, żeby pytać. Jako lekarz powinienem był pomyśleć... – Zniecierpliwiony potrząsnął głową. Trochę rozpaczliwym gestem złapał się za głowę. – Nie mogę uwierzyć, że nie pomyślałem. Nie zastanowiłem się...
– Nad czym?
Popatrzył na nią pustym wzrokiem.
– Nie zabezpieczyliśmy się.
– Och. – Zastanawiała się przez kilka sekund, aż w końcu dotarło to do niej. Jakby dostała w głowę obuchem. – Oooch.
– Cholera. – Zamknął oczy. Westchnął ciężko. Podniósł powieki i popatrzył w twarz Maggie. – Z twojej reakcji wnioskuję, że nie bierzesz pigułek.
– Nie miałam żadnego powodu – powiedziała. Obronnym gestem położyła sobie rękę na brzuchu. – To znaczy, zanim ty... dzisiaj... hm, to było... tak dawno.
Och, sytuacja stanowczo ją przerosła. Namietność zaćmiła myśli. Lecz z wolna zaczęło docierać do Maggie, co zrobili, i żołądek zaczął zmieniać się jej w twardy kamień. Być może właśnie poczęli dziecko.
– Psiakrew! – Schylił się po buty, a potem wyprostował. Miał poważną i skupioną minę.
– Idiota. Ależ ze mnie głupiec. Na nic zdadzą się przeprosiny.
– Oboje byliśmy niemądrzy – zauważyła. – Ja też tutaj byłam, nie możesz obwiniać tylko siebie. Przecież nie wykorzystałeś mnie, nie wzięłeś siłą. Jestem dorosła i sama decyduję o sobie.
– Jakoś wcale nie jest mi lżej.
– Może i tak – powiedziała – ale jestem tak samo winna jak ty. I na nic tu najlepsze przeprosiny.
Myśl, mówiła sobie w duchu.
Gorączkowo starała się przypomnieć sobie, w której części cyklu była. Prędko jednak się poddała. Nie przywiązywała do tego wielkiej wagi i nie śledziła kalendarza zbyt starannie. Skrzyżowała palce na szczęście i powiedziała:
– Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.
– Jesteś pewna? – Źrenice Sama zwęziły się.
– To był tylko jeden raz.
– Dwa.
– Prawda. – Wykonała głęboki, powolny wdech. Nie panikuj, myślała. Nie panikuj. Z trudem przełknęła ślinę. Pokiwała głową, jakby usiłowała przekonać samą siebie.

– Wszystko będzie dobrze. Zobacysz.

– Mam nadzieję, że masz rację – powiedział. Przyglądał się jej w zamyśleniu. – Ale powiesz mi wszystko, prawda, jeśli będzie inaczej?

– Oczywiście – odparła. – Nie będzie o czym mówić. Ale jeśli... Powiem ci o wszystkim.

– Dobrze. Dobrze. – Zdecydowanie pokiwał głową. Jakby to pieczętowało umowę. – A przy okazji... chcę, żebyś wiedziała... jestem zdrowy.

– Och. Ja też – zapewniła go.

I Maggie pomyślała z żalem, że seks na początku dwudziestego pierwszego wieku mógłby być nieco mniej kliniczny. Wolałby, żeby przynosił więcej radości. Przecież w końcu było im przyjemnie, prawda?

Zapadła niezręczna cisza. W oddali huczała sowa. W zaroślach nad brzegiem jeziora szumiał wiatr. Liście nad ich głowami cicho szeleściły, a z rancza dolatywało szczekanie psa. Niesamowite i przerażające w tych okolicznościach.

– Nie chcę cię skrzywdzić, Maggie – powiedział cicho Sam.

Tak cicho, że ledwie słyhać go było wśród dźwięków nocy.

Serce Maggie boleśnie się ścisnęło. Zrozumiała, że w tym momencie Sam odsuwał się od niej jeszcze bardziej. Widziała rozpacz w jego oczach, słyszała w jego głosie rozdzierającą samotność.

– Czemu myślisz, że mógłbyś mnie skrzywdzić?

Wbił wzrok w ciemną powierzchnię jeziora. Wpatrywał się w nie tak intensywnie, że Maggie nabrała przekonania, iż widział je nie takim, jakie było, gdy z nią rozmawiał, lecz takim, jakie było tamtego lata, wiele, wiele lat wcześniej.

– Po prostu nie mogę – powiedział niemal niesłyszalnie. Jakby do siebie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W ciągu następnego tygodnia Jeremiasz wyczuł zmianę w relacjach między Samem i Maggie. Nie mógł wpływać na przebieg zdarzeń, ale był pewien, że działo się więcej, niż oboje chcieli mówić. Ilekroć jedno wchodziło do pokoju, drugie stawało się niespokojne.

Był stary, ale nie był głupi.

Kiedy otworzyły się drzwi jego sypialni, Jeremiasz leżał w łóżku. Słońce znaczyło go złotą poświatą. Zobaczył, że przyszedł jego przyjaciel Bert i usiadł.

– Nareszcie jesteś – powiedział. – Przywiozłeś? Bert skrzywił się niemiłosiernie i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Na miłość boską, cicho! Tak, przywiozłem i... To już ostatni raz – dodał i zbliżył się do łóżka.

Bert poczerwieniał na twarzy. W jego jasnych oczach znać było poczucie winy. Tak wyraźne, że nie ukryły go nawet jego okulary.

– Daj spokój, Bert – powiedział Jeremiasz. Usiadł energicznie i spuścił nogi z łóżka. – Szkoda twoich nerwów.

Przybysz postawił swoją skórzaną torbę lekarską na brzegu łóżka i ją otworzył. Zanurzył rękę i wyciągnął butelkę starej, dobrej szkockiej whisky. Z ponurą miną podał ją Jeremiaszowi. – Nie chodzi o moje nerwy, Jeremiaszu. Chodzi o to, co jest dobre, a co nie jest. Nie lubię okłamywać Sama.

Marszcząc brwi, Jeremiasz uważnie oglądał butelkę.

– Taaak. Szczerze mówiąc, ja także. Ale musiałem ściągnąć ich tutaj wszystkich.

– Owszem, ale Sam już tu jest. Powiedz mu prawdę.

– Jeszcze nie. – Jeremiasz pokręcił głową. Jemu także wyrzuty sumienia wciąż nie dawały spokoju. Nie cieszyło go sprawianie przykrości wnukom, ale będzie mógł wyznać im wszystko dopiero, gdy zjawią się wszyscy trzej. Tam, gdzie ich miejsce. Jakby utwierdzając się w przekonaniu, kiwnął zdecydowanie głową, a potem spytał: – Powiedz, Bert, kiedy byłeś na dole, czy zauważyłeś, że coś dzieje się między Samem i Maggie?

Zaskoczony nieoczekiwaną zmianą tematu Bert gwałtownie zamrugał. Potem przez parę chwil zastanawiał się.

– Nie – odparł w końcu. – Nic takiego nie zauważyłem. Tym bardziej że Maggie nie było w domu. Sam otwierał drzwi. – Kręcąc niezdecydowanie głową, dodał: – Próbowałem porozmawiać z nim o osiedleniu się tutaj. O odkupieniu mojej praktyki.

Jeremiasz popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– Co ci powiedział?

– To, co zawsze – odparł Bert. Westchnął ciężko i usiadł przy przyjacielu, na brzegu łóżka. Przez uchylone okno wpadały do pokoju powiewy wiatru i kołysały firanką. – On nie zamierza tutaj osiąść. Nie interesuje go to ani trochę. Chce praktykować medycynę na swoich warunkach.

– To przykre. – Jeremiasz westchnął jeszcze boleśniej i z cichym zgrzytem odkręcił

butelkę. Pociągnął łyk i wyciągnął rękę do Berta. – Chłopcy są strasznie uparci. Strasznie.

Bert głośno prychnął. Także pociągnął spory łyk prosto z butelki.

– Zastanawiam się, gdzie się tego nauczyli?

Maggie szła wzdłuż sznura z bielizną. Odpinała drewniane zaciski i zdejmowała suche prześcieradła i poszewki. Starannie składała każdą sztukę i wkładała do stojącego u jej stóp kosza. Kiedy kończyła z kolejną porcją pościeli, nogą przesuwiała kosz.

Sam stał na werandzie za domem. Wsparł łokcie na balustradzie i obserwował Maggie. Kiedy Jeremiasz zajęty był na górze rozmową z Bertem, on poszedł za głosem instynktu. A ten przywiódł go tutaj.

Do Maggie.

Niechętnie przyznawał, nawet samemu sobie, że tak właśnie było. Zupełnie o to nie zabiegając, nawiązał z tą kobietą niezwykłą więź. Przyzwyczał się, że widywał ją codziennie. Że słuchał jej śpiewu, kiedy myślała, że nikogo nie ma w pobliżu. Z przyjemnością obserwował, jak doglądała dziadka i prowadziła dom.

Boże! Jakże tęsknił za tym ranczem. Kiedy był dzieckiem, wakacje spędzane tutaj znaczyły dlań więcej niż cokolwiek innego. To miejsce, to stare ranczo, bardziej było mu domem niż którakolwiek z baz wojskowych, w których się wychowywał. Jego rodzice zawsze zbyt zajęci byli sobą, by poświęcać mu dość uwagi. Dlatego każde lato z dziadkiem i kuzynami traktował jak najcudowniejszy skarb. Zawsze wiedział i czuł, że tu było jego miejsce. W tym mieście. Na tym ranczu.

Oderwał wzrok od Maggie. Powiódł nim wkoło. Po przestronnym podwórzu. Po zabudowaniach. Stajnia i stodoła wymagały odmalowania. W kilku miejscach należało zreperować rynny. Miejscami widać było kępy chwastów. Dawniej żaden chwast nie miał tu szans na przetrwanie. Ale czasy się zmieniły.

Zbyt wiele się zmieniło.

Znowu wrócił do przyglądania się Maggie. Absolutnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że była obserwowana. Powoli, systematycznie przesuwiała się wzdłuż rzędów czystej pościeli, którą wywiesiła do suszenia kilka godzin wcześniej. Miała na sobie białe szorty i kusą żółtą bluzeczkę. Białe niegdyś trampki były stare i znoszone. Długie do ramion, ciemne włosy związała w koński ogon, który kołysał się z każdym jej ruchem jak metronom.

W pewnym momencie Sam uświadomił sobie, że patrząc na nią, uśmiechał się.

– Jeśli zamierzasz stać tak dłużej – zawołała, nie odwracając głowy – to może przynajmniej pomożesz mi składać pościel!

Wyprostował się. Sapnął z niezadowolenia. Ileż dałby za czapkę-niewidkę. Podszedł do Maggie wielkimi krokami.

– Skąd wiedziałas, że tam byłem?

Pochyliła na bok głowę i posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Czułam na sobie twój wzrok.

Wysoko uniósł brwi, a Maggie uśmiechnęła się.

– No dobrze, słyszałam, kiedy przyszedłeś. Siatkowe drzwi kuchenne wciąż skrzypią. –

Wzruszyła ramionami. – Poza tym słyhać było stukot twoich butów na werandzie... Nie wspominając już o tym, że jakieś dwie czy trzy minuty temu westchnąłeś jak bardzo stary człowiek.

Palce Maggie nie zatrzymały się ani na moment. Odpinała zaciski, wrzucała je do wiszącej na sznurze płóciennej torby i składała kolejną część pościeli.

– Jesteś wyjątkowo spostrzegawcza – powiedział. Ujął podany mu brzeg prześcieradła.

– Owszem – przyznała. Zawinęła brzeg prześcieradła i ruszyła z nim do następnego. – I zauważyłam, że unikałeś mnie przez cały tydzień.

Promienie słońca mieniły się na jej włosach, malowały na nich złociste pasemka. Maggie zmrużyła oczy i podejrzliwie popatrzyła na Sama. W tym momencie po raz pierwszy zauważył, że miała na nosku jasne piegi. Nie za wiele. Tylko kilka. Akurat tyle, żeby mężczyzna zapragnął policzyć je pocałunkami.

I właśnie dlatego, powiedział sobie w myślach, unikałem cię przez cały tydzień.

Ani na moment nie zapomniał tamtej nocy. Nieustannie pragnął Maggie. Jak powietrza. Wciąż i wciąż, i wciąż.

Potrząsnął głową. Głośno wypuścił powietrze. Psiakrew! Trzymał ją w ramionach. Wiedział, co mógł tam znaleźć. I dlatego za wszelką cenę musiał trzymać się od niej z daleka.

– Jak już powiedziałem, jesteś spostrzegawcza.

W milczeniu złożyli prześcieradło. Potem następane. Na koniec Maggie wręczyła mu powłóczkę na poduszkę. Sobie zatrzymała następną.

– Hm – mruknęła. – Nawet nie spróbujesz zaprzeczyć?

– To chyba i tak nie miałyby sensu, prawda?

– Może w takim razie zechcesz powiedzieć mi, dlaczego mnie unikasz?

– Raczej nie – odparł.

– No, dobrze. To może ja powiem tobie? – Maggie... – Odłożył powłóczkę na stos czystej pościeli.

– Widzisz – przerwała mu – myślę, że nie chcesz rozmawiać o tamtej nocy, ponieważ ma to dla ciebie szczególne znaczenie. I to ci dokucza.

Zesztywniał. Oczy zwęziły się mu jak szparki. Maggie tymczasem podeszła już do następnego prześcieradła i wprawnie zdjęła je ze sznura.

– Już powiedziałem, że nie chcę cię skrzywdzić.

– Owszem. – Pokiwała głową. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Dajmy więc temu spokój.

– Nie. – Stała przed nim, twarzą w twarz.

– Czemu nie jestem zaskoczony? Uśmiechnęła się smutno.

– Czy naprawdę tak trudno przyznać, że to była wyjątkowa noc?

– Nie – wyrzucił. – Była naprawdę wyjątkowa. Przyznaję. Ale nie mogę dać ci nic więcej.

– Nie prosiłam o nic więcej – przypomniała mu, wzdychając z lekkim zniecierpliwieniem.

– Tak, ale teraz poprosisz – powiedział. Spojrzał jej prosto w oczy. – To tkwi w twojej naturze.

Maggie parsknęła śmiechem. A jego ten śmiech poruszył do głębi.

– W mojej naturze – powtórzyła drwiąco. – A skąd ty to możesz wiedzieć?

Wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Jesteś domatorką, Maggie. Spójrz. Stąd widać zasłonki, które powiesiłaś w domku gościnnym. Zostawiłaś swój ślad w każdym zakątku tego miejsca, którego unikałem od piętnastu lat.

– Ale teraz tu jesteś.

– Tylko na lato – przypomniał jej. – Potem wyjadę.

– Ot, tak? Potrafisz tak po prostu wyjechać, kiedy już dowiedziałeś się, jak twój dziadek cię potrzebuje? Jak cię kocha?

Sam poczuł się niezręcznie. Znów wróciło poczucie winy.

– Nie mogę tu zostać – powiedział po chwili przez zaciśnięte zęby.

Pomału pokręciła głową. Wraz z nią zakołysał się jej kucyk.

– Nie, nie możesz – powiedziała. – Nie chcesz.

– Co za różnica? – W głosie Sama słychać było irytację.

Ale tym razem nie zrobiło to na Maggie wrażenia. Patrzyła na niego z tym samym uśmiechem. Na pół z rozczarowaniem, na pół z politowaniem.

– Jeśli nawet masz zamiar wyjechać z końcem lata, to teraz tutaj jesteś – przypomniała mu.

To prawda. Był tu. I pragnął jej. Rozpaczliwie. Na samą myśl jego całe ciało wyprężyło się, sztywniało. I brakowało mu powietrza w płucach.

– Ty nie jesteś kobietą na chwilę, Maggie – powiedział, kiedy zdołał zapanować nad sobą. – A ja nie mogę ci niczego obiecać.

– Stale zapominasz, że ja cię o nic nie prosiłam. – Podeszła do niego. Położyła mu dłoń na policzku. I zajrzała głęboko w oczy. – Co? Tylko mężczyźni mają prawo do przelotnych, gorących przygód?

Chwyił ją za rękę. Ślady jej palców na skórze paliły jak ogień.

– A co z resztą?

– Hm?

– Z ewentualną ciążą? – Nie do wiary, że musiał jej przypominać o czymś takim.

Widział w jej oczach, że zrozumiała, co miał na myśli.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Ale teraz i tak nic nie możemy zrobić. Po co martwić się na zapas?

– Może masz rację. – Sam wiedział, że gdzieś w głębi duszy nie pozbędzie się niepokoju.

– Tym razem możemy być ostrożni.

Głos Maggie wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał w jej oczy i poczuł, jak jego postanowienie unikania tej dziewczyny topniało jak воск. Jeśli będą ostrożni, a ona nie będzie oczekiwała od niego więcej, niż gotów był ofiarować...

Byłoby to czyste szaleństwo.

Głupota.

Olbrzymia.

Maggie czekała, by coś powiedział. Nie doczekała się. Wzruszyła ramionami.

– Tak czy siak – powiedziała w zadumie – i tak musimy zanieść pranie do domu.

Sam poczuł nagle, jakby ktoś wskazał mu drogę przez pole minowe. Przyglądał się Maggie idącej wzdłuż sznura po kolejną sztukę bielizny. Podziwiał kołysanie jej bioder, chociaż doskonale pamiętał, że tego właśnie miał unikać.

– Czemu nie użyjesz po prostu suszarki, która jest w domu?

– Bo w ten sposób wszystko ładniej pachnie. – Sięgnęła do sznura. Brzeg jej bluzeczki uniósł się nieco, odsłaniając skrawek opalanej skóry na brzuchu. To wystarczyło, żeby go podniecić. – Czuję wiatr i słońce... A w nocy śpię na takiej pościeli i śnię o lecie.

Byłoby wspaniale, pomyślał Sam i wcisnął ręce do kieszeni.

Chociaż tak naprawdę wszystko byłoby lepsze od snów, które zazwyczaj miewał.

– Poza tym – ciągnęła, podając mu krawędź kolejnego prześcieradła – kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze marzyłam o tym, żeby mieć własny sznur do bielizny.

Sam stłumił śmiech.

– To zmienia postać rzeczy – powiedział prawie poważnie.

Zerknęła podejrzliwie. Potem popatrzyła w dół, na prześcieradło, które składali.

– Na końcu ulicy, tam, gdzie mieszkałam, stał dom. Właścicielka prawie całe dni spędzała na dworze. – Mówiła coraz ciszej, głosem coraz bardziej miękkiem. Sam zrozumiał, że Maggie właśnie oglądała własne wspomnienia. – Miała wielkiego, złotego psa, który chodził za nią po podwórku krok w krok. I kiedy rozwieszała pranie, głośno się do niego śmiała. Czasami – dodała, uśmiechając się – wraz z nią wychodziły także dzieci. Wszyscy razem bawili się w chowanego. Mieli czyste ubranka i wyglądali tak... ładnie.

– Twoja mama nie zwracała specjalnej uwagi na ubranie, prawda?

Maggie spoważniała. Mgiełka zasłoniła jej oczy.

– Nie wiem, jaka była moja mama – powiedziała. Słysząc było smutek w jej głosie. – Nie znałam jej.

Zobaczyła, że Sam zawstydział się.

– Przepraszam – powiedział.

Wzruszyła ramionami. Poprawiła ramiączko bluzeczki, które zsunęło się z ramienia.

– To nie twoja wina – powiedziała. – Nie wiedziałeś.

– A twój ojciec? Zmusiła się do uśmiechu.

– On także jest wielką zagadką. Oboje umarli, kiedy byłam mała. Wtedy trafiłam w szpony systemu i tkwiłam w nim do osiemnastego roku życia. Ta sąsiadka, o której mówiłam, pamiętasz, mieszkała na końcu ulicy, przy której był dom dziecka.

– Nie zostałeś adoptowany?

– Nie. Większość ludzi woli małe dzieci. Nie patrz na mnie z takim współczuciem – rzuciła Maggie. Już dawno nie potrzebowała litości. A już na pewno nie chciała jej od Sama. – Poradziłam sobie z tym. Byłam w kilku rodzinach zastępczych, ale w domu dziecka wcale nie było najgorzej. – Nie chciała dalej o tym mówić. – Mniejsza z tym. Teraz mam sznur do bielizny pod ręką i mogę sobie poużywać.

Na szczęście nie pytał więcej o jej dzieciństwo. Nie było wesołe i kolorowe. Raczej jak z powieści Dickensa. Ale to już przeszłość. Minęło. Teraz powinna myśleć o dziś i o

przyszłości.

– Używasz sobie, chociaż masz w ten sposób więcej pracy.

– Czasami lepiej jest mieć więcej pracy.

– Twoja przeciętna z ostatnich dni chyba cię nie zadowala.

Uśmiechnęła się do niego.

– Kto chciałby być przeciętny? – spytała.

– Słusznie. – Dokończył składać prześcieradło i rozejrzał się po podwórzu. – Wiem, czego ci jeszcze brakuje do twoich pralniczo-suszarkowych rozrywek. Dziadek miał psa.

– Wielka Stopa. – Maggie smutno pokiwała głową.

– Wiem. Zdechł w zeszłym roku.

– W zeszłym roku?! – Sam gwizdnął przez zęby. – Musiał mieć chyba ze dwadzieścia lat.

– Prawie. Do końca był bardzo żwawy. Jeremiasz bardzo przeżył jego śmierć. Powiedział, że to był ostatni jego łącznik z tobą i twoimi kuzynami.

Sam przyłożył dłoń do piersi i pomasaował, jakby jej słowa boleśnie go trafiły.

– Nie powinieneś trzymać się z daleka aż tak długo – powiedziała.

Sam otaksował Maggie.

– Nie mogłem wrócić. Nie mogłem znaleźć się tutaj... w otoczeniu wspomnień. Nie mogłem tego zrobić.

– Ale teraz to robisz.

– Z trudem – prychnął.

– Może z biegiem czasu będzie ci łatwiej?

– Nie, nie będzie.

– Spróbuj. Dla niego. – Kiwnęła głową w stronę domu.

– Tylko dla niego w ogóle tutaj przyjechałem. – Uniósł rękę i zacisnął dłoń na nylonowym sznurze.

Mocno. Jakby to była lina rzucona rozbitkowi na morzu.

– To nie była twoja wina. – Słowa same wyrwały się jej z ust.

I gdy tylko zabrzmiały, Maggie wiedziała, że popełniła błąd.

Rysy Sama zastygły. Zacisnął szczęki. Niemal usłyszała zgrzytanie zębów. Natomiast jego wzrok, ponury i pełen cierpienia sprawił, że ścisnęło się jej serce.

– Nic o tym nie wiesz – powiedział.

– Powinieneś porozmawiać o tym. Opowiedz mi. Po raz kolejny parsknął krótkim śmiechem. Pokręcił głową.

– Opowiadanie o tym niczego nie zmieni. Nie pomoże. Tylko wszystko znowu do mnie wróci.

– Sam – powiedziała Maggie cicho – nic do ciebie nie musi wracać. Jest z tobą cały czas.

– Boże. Wiem o tym. – Odetchnął głęboko, jakby próbował się uspokoić. Po chwili odezwał się, lecz na zupełnie inny temat. – Jak to się stało, że znalazłaś się na ranczu Lonerganów, że zaczęłaś pracować dla Jeremiasza?

Skinieniem głowy Maggie zaakceptowała taki zwrot rozmowy. I była pewna, że dostrzegła błysk ulgi w oczach Sama. Podała mu brzeg następnej sztuki pościeli. Od pewnego

czasu składali je w stałym rytmie, jak doskonale zgrany duet. I Maggie po raz kolejny pomyślała, że chciałaby stworzyć z nim taki zespół także w innych sprawach.

– Mój samochód zepsuł się – powiedziała. – Tuż przy głównej bramie rancza. – Zamyśliła się, przywołując wspomnienia. – Zepsuł się, to za mało powiedziane. Raczej kompletnie się rozsypał.

Kąciki ust Sama uniosły się niemal niezauważalnie. Zastanawiała się przez chwilę, jak Sam wygląda, kiedy uśmiecha się naprawdę. Kiedy się śmieje.

– Mniejsza z tym – powiedziała. – Jeremiasz zaprosił mnie do domu, dał śniadanie, zadzwonił po mechanika. I kiedy czekaliśmy, żeby holownik odwiózł moje auto na złomowisko, twój dziadek zaproponował mi pracę. Jako gospodyni.

– To mi wyjaśnia, w jaki sposób tutaj się znalazłaś – powiedział. Odłożył kolejną sztukę pościeli na stos.

– Teraz wyjaśnij mi, dlaczego nadal tutaj jesteś.

Maggie wyprostowała się. Potoczyła dookoła wzrokiem. Poza zabudowania, na pola i łąki. Na błękitne niebo. Na budynki sąsiedniego rancza w oddali.

Na koniec popatrzyła na Sama.

– A dlaczego nie? – spytała. – Tutaj jest pięknie. Lubię małe miasteczka. Kocham twojego dziadka...

Wiele mu zawdzięczam. Dał mi miejsce na ziemi, które mogę nazwać moim.

Proste słowa, a tak wiele dla niej znaczyły. Zapewne znacznie więcej, niż Sam mógł naprawdę zrozumieć. Nikt, kto miał dom i rodzinę, nie zdoła pojąć, co znaczy tego nie mieć.

– Poza tym – ciągnęła – pracując dla Jeremiasza, miałam czas na naukę na uczelni we Fresno.

– Co studiowałaś?

– Pielęgniarstwo. Ja... lubię opiekować się ludźmi.

– Jeremiasz i doktor Evans mówią, że jesteś w tym dobra.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Rozmowa toczyła się gładko, bo byli zajęci pracą. We dwoje. I tylko we dwoje.

Popołudniowe słońce paliło coraz mocniej. Delikatne podmuchy wiatru poruszały liśćmi, podnosiły obłoczki kurzu, ale były zbyt słabe, by dawać ochłodę.

Czas płynął.

Sam spojrział na Maggie, a ona zaczęła zastanawiać się, o czym myślał.

Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś ją pocałuje. Na samą myśl serce zadudniło jej w uszach. I zabrakło powietrza w płucach. Usta wyschły, a krtań boleśnie się zacisnęła.

A Sam patrzył i patrzył. Jego ciemne oczy przeszywały Maggie na wylot. Hipnotyzowały ją. Było w nim coś, co sprawiało, że zaczynały drzeć najtajniejsze struny jej duszy. Nie zaznała czegoś podobnego nigdy wcześniej.

Boże! Jakże marzyła, żeby znów poczuć na wargach jego usta!

A Sam, jakby czytał w jej myślach, wbił wzrok w wargi Maggie. Serce skoczyło jej do gardła.

Kiedy wyciągnął do niej ręce, pochyliła się. Poczła jego dłonie na ramionach i wstrzymała oddech.

Sam pochylił głowę i szepnął:

– Chyba mamy zamiar znów popełnić ten sam błąd, prawda?

Poczła na twarzy jego oddech. Nabrała powietrza. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Wszystko na to wskazuje.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Doczekała się.

Usta Sama dotknęły jej ust i Maggie bezwiednie pochyliła się do przodu. Oparła się o szeroką pierś Sama.

Rozchyliła usta. Westchnęła i poddała się rozkoszy chwili. Zdecydowanie uciszyła nieśmiałe ostrzeżenia, które rodziły się w jej duszy.

Sam zamknął ją w objęciach, przytulił ze wszystkich sił. Żar jego ciała sprawił, że Maggie zaczęła topnieć jak wosk.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego swym ciałem. Sam oderwał wargi od jej ust i zaczął znaczyć pocałunkami jej szyję. Maggie odrzuciła głowę do tyłu. Niewidzące spojrzenie wbiła w czyste niebo. Jej kolana zaczęły dygotać.

Delektowała się każdą chwilą.

– Hm, hm – rozległ się niski, głęboki głos. – Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać.

Oj!

Czar prysł. Kiedy Sam uniósł głowę, by zobaczyć, kto do nich przemówił, Maggie zachwiała się. Na tylnej werandzie stał doktor Evans, Zakłopotany, chusteczką do nosa staranie czyścił okulary.

– Witaj, doktorze. – Sam cofnął się o krok i uwolnił Maggie z objęć, choć tylko on wiedział, jak wiele go to kosztowało.

Wciąż dygotał i drżał z podniecenia. Za jego plecami Maggie nerwowo poprawiała bluzeczkę i włosy.

– Chciałem tylko powiedzieć Samowi, że odjeżdżam – powiedział doktor.

Włożył okulary na nos i schował chusteczkę do kieszeni.

– Jak się czuje Jeremiasz? – spytała Maggie, lekko zdyszana.

Ale chyba tylko Sam to zauważył.

Doktor podszedł kilka kroków, spojrzał na zegarek i powiedział:

– Wygląda... lepiej.

Sam uważnie przyjrzał się starszemu panu. Krew wciąż w nim kipiła. Z trudem nad sobą panował. Ta dziwna, nieokreślona „choroba” dziadka bardzo go irytowała.

To chyba dobra okazja, żeby zadać kilka pytań, pomyślał.

– Czy ustalił pan ostatecznie, co mu jest?

– Jeszcze nie. Hm, wciąż jeszcze robię badania... – Evans zaczął kręcić się nerwowo. Odwrócił wzrok. – Ja, hm, wszystkiego dopilnuję. Nie martw się.

– Doktorze... – Instykt podpowiadał Samowi, że działo się coś tajemniczego. Bert Evans i Jeremiasz byli najlepszymi przyjaciółmi i od bardzo dawna kumplami od wędkowania. Jeden dla drugiego zrobiłby wszystko. Wszystko. Sam podszedł do starszego pana i spojrzał mu w oczy. – Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

Doktor nerwowo poprawił kołnierzyk koszuli i z trudem przełknął ślinę. Wciąż unikając wzroku Sama, przecząco pokręcił głową.

– Nie, nic, chłopcze – odparł. – Wszystko jest tak, jak powinno być.

– Czyżby? – Sam skrzyżował ramiona.

Stanął mocniej na szeroko rozstawionych nogach i czekał.

Zapadła cisza. Poryw wiatru poderwał z ziemi tuman kurzu. Starszy pan przestąpił z nogi na nogę. Rozejrzał się dookoła.

– On symuluje, prawda?

Bert podniósł oczy i Sam nie musiał już nawet czekać na odpowiedź. Doktor zaczerwienił się.

– Czemu tak uważasz? – spytał. Wyraźnie unikał odpowiedzi.

– Ponieważ – zaczął Sam pomału – jestem pewien, że gdyby z Jeremiaszem naprawdę było tak źle, jak obaj staracie się mi wmówić, to zabrałby go pan do szpitala. Albo w najgorszym razie przez cały czas byłaby przy nim pielęgniarka.

– Maggie jest na miejscu – zauważył doktor.

– Owszem – powiedział Sam. Usłyszał za plecami, że Maggie podeszła bliżej. – I radzi sobie doskonale.

Ale nie jest dyplomowaną pielęgniarką. Przynajmniej jeszcze nie – dodał. – Dlatego zacząłem podejrzewać, że Jeremiasz mnie oszukuje. A może i pan?

Starszy pan chrząknął, potarł dłonią po brodzie, potem głośno wypuścił powietrze. Ale nie odezwał się słowem.

– Doktorze Evans – spytała wtedy Maggie, wychodząc zza Sama – czy Jeremiasz jest chory, czy nie?

Doktor głośno sapnął. Przełknął ślinę.

– Nigdy nie chciałem cię okłamywać, Maggie. Ani ciebie, Samie.

– Nie wierzę – mruknęła Maggie.

– A ja tak. – Sam potrząsnął głową. – Stary cap zwabił nas tu podstępem.

Oczy Berta zapłonęły. Wyprostował się, jakby ktoś wbił mu w plecy żelazny kolec. Pogroził Samowi palcem, jakby ten wciąż był małym chłopcem.

– Wstyd, że staruszek w ogóle musiał uciekać się do takich metod, żeby zobaczyć się z wami! – zawołał gniewnie. – Nie byliście na ranchu od tamtego lata. Uważasz, że to jest w porządku? Że tak należy traktować dziadka? Wyrzucając go ze swojego życia?

– Nie, ale... – Sam wcisnął ręce do kieszeni i cofnął się o krok.

Dostrzegł wbite w siebie spojrzenie Maggie.

– Nie ma żadnego ale, chłopcze – kontynuował doktor Evans. – Dla tego „starego capa” wy trzej jesteście całym światem. Nic dziwnego, że robił, co mógł, żeby was tu ściągnąć, prawda?

Prawda. Jeśli doktor chciał zawstydzić Sama, udało mu się. Ale nikt nie był w stanie zrozumieć, jak trudny był dla niego powrót do Coleville. Do tego miejsca, które kiedyś było wszystkim. I jak bardzo chciał zapomnieć.

– To był wypadek – powiedział doktor cicho. – Ale wy trzej kazaliście Jeremiaszowi zapłacić za to samotnością. To nie jest w porządku.

Sam nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Doktor miał rację. Jeremiasz poniósł

karę za coś, czemu nie zawinił. Sam i jego kuzyni odepchnęli od siebie ranczo i staruszka, by swoje życie uczynić łatwiejszym. Nigdy nie zastanowili się, jak takim postępowaniem skrzywdzili dziadka. Jakimi okazali się draniem.

Sam nerwowo potarł ręką po policzku i odwrócił się. Nie mógł znieść oskarżycielskiego spojrzenia doktora Evansa. Wielki krokami ruszył przez podwórze. Zatrzymał się dopiero przy ogrodzeniu. Wbił spojrzenie w dal, na rozciągający się po horyzont krajobraz. Wiatr targał mu włosy. Sypnął kurzem w oczy. Gorące słońce paliło, jakby stał u wrót piekła.

Słyszał za plecami, jak Maggie dziękowała doktorowi i żegnała się z nim. Słyszał oddalające się kroki doktora. Wstyd palił mu policzki. On i kuzyni zmusili dziadka, żeby symulując poważną chorobę, mógł znowu ich zobaczyć.

– Wszystko w porządku?

Maggie stanęła za nim. Położyła mu rękę na ramieniu. Prostota tego gestu, gorąco dotyku i delikatność głosu sprawiły, że przyczajony na dnie duszy ból pękł. Wypełnił mu pierś.

– Nie – odparł, nie patrząc na nią. – Nie sądzę. Westchnęła.

– Jeremiasz nie postąpił dobrze – powiedziała. – Nie powinien był straszyć ciebie i twoich kuzynów... Ani mnie.

Sam pomału odwrócił głowę i spojrzał na nią. Zauważył w jej ciemnych oczach lęk.

– Nie powinien był straszyć ciebie – powiedział. – My sobie na to zasłużyliśmy.

– Jesteś dla siebie bardzo surowy. Roześmiał się.

– Czy to nie ty przypadkiem mówiłaś, że nigdy nie powinienem uciekać?

– Tak – odparła. – Ale to właśnie Jeremiasz najlepiej powinien rozumieć, co czułeś.

– Nie. – Położył jej ręce na ramionach. – Nie mógł, ponieważ nie zna całej prawdy.

– Opowiedz mi. – Chwyliła go za ręce. – Opowiedz mi, co się stało.

Poczuła, jak palce Sama wbiły się w jej ramiona. Wyczuła emanujący z niego ból i zapragnęła jakoś mu ulżyć. Nie mogła jednak nic zrobić... dopóki on nie powie, co przez tyle czasu zadawało mu tyle cierpienia. Co sprawiło, że przez lata uciekał od domu dziadka, który kochał tak bardzo.

– Sam...

Gwałtownie wciągnął powietrze i wypuścił je z głośnym gwizdem.

– Przyjeżdżaliśmy tutaj każdego lata. Było nas czterech. Niemal w tym samym wieku. Nasi ojcowie byli braćmi, a i my byliśmy bardziej jak bracia niż kuzyni.

Delikatna mgiełka przysłoniła mu spojrzenie. Patrzył w przeszłość. Nie widział Maggie. Tylko uścisk na jej ramionach stawał się coraz mocniejszy.

– Ja, Cooper, Jake i Mac. – Uśmiechnął się smętnie. – Ja byłem najstarszy, Mac najmłodszy. Chociaż to nie miało żadnego znaczenia.

Kolejny powiew wiatru zakręcił pyłem z podwórza, podniósł miniaturową trąbę powietrzną.

– Mac był wspaniały. Niezwykle inteligentny. Miał dopiero szesnaście lat, ale głowę pełną nadzwyczajnych pomysłów. – Sam nadal uśmiechał się, lecz Maggie wyczuwała budzące się w nim napięcie. – Tamtego roku wymyślił biznes, który miał przynieść nam wielkie bogactwo.

– Naprawdę? – Maggie uśmiechnęła się do niego. – Co to było?

Odplącił jej uśmiechem i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Mac i Jake pasjonowali się motocyklami... ciągle przy nich grzebali, poprawiali, ulepszaali. Tamtego lata powiedzieli, że wynaleźli coś, co bardzo usprawni pracę silnika i sprawi, że wszyscy będziemy milionerami. – Uśmiech z wolna odpływał z jego twarzy. – Mieli rację. Zyski z tego wynalazku były niewiarygodne. Tylko Mac już tego nie dożył.

– Opowiedz mi, co się stało.

Wsunął ręce do kieszeni i cofnął się. Odsuwał się od niej? Czy od dręczących go wspomnień?

– Urządziliśmy zawody – powiedział z goryczą w głosie. – Skakaliśmy kolejno do jeziora. Dostawało się punkty za odległość i za czas, jaki wytrzyma się pod wodą.

Współczucie ścisnęło serce Maggie. Wyciągnęła ku niemu rękę, lecz on pokręcił głową.

– Pozwól mi... pozbyć się tego. – Przeknął z trudem ślinę. Wbił wzrok w dal. W przeszłość. – Przyszła kolej Maca. Jake przeskoczył nas wszystkich. – Głuchy śmiech wydarł mu się z gardła. – Mac nienawidził przegrywać. Wziął wielki rozbieg, odbił się i poleciał najdalej. Jake wkurzył się. Ale Mac, żeby wygrać, musiał zostać pod wodą dłużej niż on.

– O Boże... – Wiedziała, co będzie dalej. Wiedziała, że tamtego lata Mac umarł, a jego śmierć sprawiła, że kuzyni odwrócili się od tego wszystkiego, co wcześniej tak kochali.

Sam mówił dalej, jakby nie usłyszał Maggie. – Ja mierzyłem czas. Miałem stoper Jeremiasza. Kiedy minęły dwie minuty, zacząłem się niepokoić.

– Dwie minuty? Przecież to strasznie długo.

– Nie dla niego. Robił to wcześniej już nieraz. Ale tym razem... – Potrząsnął głową. – Było jakoś... inaczej. Nie wiem dlaczego. Powiedziałem do Coopera, że powinniśmy pójść po niego, ale on chciał, żeby Mac pokonał Jake'a. Powiedział, żeby dać mu jeszcze kilka sekund. Czekaliśmy. Powinniśmy pójść po niego, ale czekaliśmy. – Oczy zaszklily się mu łzami. Otarł je gniewnym ruchem. – Nie my. Ja. Ja powinienem był pójść po niego. To ja wiedziałem, że działo się coś złego. Że Mac ma kłopoty. Ale czekałem.

– Sam... – Serce Maggie ścisnęło się bolesnym współczuciem.

– Czekałem. Stałem na brzegu i mierzyłem czas. Boże. A Mac w tym czasie umierał.

– Jesteś dla siebie zbyt okrutny. Zawsze byłeś. Posłał jej wściekłe spojrzenie.

– Nie słuchałaś mnie? Wiedziałem, że on miał kłopoty!

– Miałeś tylko złe przeczucie. Przecież też byłeś jeszcze dzieckiem.

– Byłem najstarszy. Powinienem był wiedzieć lepiej. Głupotą było skakanie z brzegu. Po dwóch minutach i piętnastu sekundach nie wytrzymałem. Wskoczyłem do wody. Pozostali popędzili za mną. Woda w jeziorze była mętna. – Zmrużył oczy, jakby wciąż próbował przebić spojrzeniem mroczne wody. – Zbyt długo go szukaliśmy. Całą wieczność. Leżał na dnie. Wyciągnęliśmy go na brzeg. Położyliśmy na piasku i próbowaliśmy ratować. Ale było już za późno. Nie żył. Mac był martwy.

Maggie ścisnęła go za ramię. Czuła pod palcami jego naprężone, twarde jak stal mięśnie.

– Tak mi przykro, Sam. Ale to nie była twoja wina.

– Wszyscy tak mówili – westchnął ciężko. – Doktor Evans badał... ciało. Powiedział, że Mac złamał kark podczas skoku i nieprzytomny utonął. Później nic już nie było takie samo.

– Uciekłeś, Samie – powiedziała. Czowała, że nie chciał jej współczucia. – Dokonałeś wyboru. Ty i pozostali. A nie musiałeś. Nikt cię nie obwinał.

– Ja sam siebie obwinałem. Mac utonął. Podczas gdy my wszyscy staliśmy na brzegu i mierzyliśmy czas, on umierał.

– Nie jesteś jasnowidzem. Nie mogłeś wiedzieć, że złamał kark.

Potrząsnął głową. Nie chciał jej słuchać. Nie chciał pozbyć się brzemienia winy, które dźwigał tak długo, że stało się jego częścią. – Powinienem wiedzieć, że miał kłopoty. Gdybym pobiegł do niego od razu, mógłbym go uratować.

– Złamał kark – przypomniała cicho.

– Miał dopiero szesnaście lat.

– Wiem... – Położyła mu dłoń na piersi. Czowała gwałtowne bicie jego serca. – Ale czy ucieczka z Coleville przyniosła ci ulgę?

– Nic nie przyniosło mi ulgi.

– To czemu trzymałeś się z daleka? Czy nie mogłeś... Nie wiem... Uczcić pamięci Maca, przejeżdżając tutaj? Mogłeś osiedlić się w mieście. Praktykować tutaj, żyć. Być szczęśliwy.

Przez moment nadzieja rozjaśniła jego spojrzenie, lecz prędko zgasła. Jakże chciałby przyznać jej rację. Powiedzieć: tak, zostanę tutaj. Osiedlę się w Colleville, zamieszkać na ranczu. W miejscu, do którego tak długo tęskniłem.

Ale nie mógł.

Zawiódł Maca.

I nie wolno mu było być szczęśliwym.

Skrzywił się, kiedy spytała, z zawodem w głosie:

– Naprawdę uważasz, że Mac chciałby, żebyście cierpieli do końca życia? Żebyście unikali miejsca, które tak bardzo kochaliście?

– Nie, nie chciałby – szepnął. Ostrożnie, samymi czubkami palców, dotknął jej policzka.

– Ale to nie ma znaczenia. Nie dla mnie. Ani dla pozostałych.

– Zatem kiedy lato minie, wyjedziesz?

– Tak – wydusił przez ściśnięte gardło.

– I nigdy nie wrócisz. – Tak.

– Nieważne, jak daleko odjedziesz, Samie, nigdy nie zdołasz uciec od swojej przeszłości. Ja to wiem. Próbowalam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Jesteś na mnie zła, prawda?

Maggie układała właśnie w komodzie wyprane ubrania Jeremiasza. Słyszając jego głos, odwróciła się. Wyglądał na zmartwionego. I wystraszonego. Jak dziecko, które podkraść ciastko i zjadło je przed obiadem.

Chociaż wciąż miała do niego żal, że okłamał ją, to przecież... Świadomość, że był zdrowy, ogrzewała jej serce. Przez te dwa lata stał się jej bardzo bliski. I bardzo ważny. Ten samotny starzec stał się dla niej rodziną, o której marzyła. Myśl, że mogłaby go stracić, przerażała ją.

– Zła? – powtórzyła, kręcąc głową. – Nie, już nie. Ale byłam. Kiedy doktor Evans powiedział nam prawdę.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Maggie – powiedział Jeremiasz. Przyglądał się jej spod krzaczastych brwi. – Jeśli ci to pomoże, powiem, że bardzo nie lubiłem cię okłamywać.

Popołudniowe słońce lśniło na jego siwych włosach. Przez uchylone okno wpadał do sypialni wiatr i tarosił zasłony. W oczach Jeremiasza była nadzieja i niema prośba o wybaczenie.

Miłość, słodka i potężna, zalała serce Maggie. I już wiedziała, że nie będzie umiała boczyć się dłużej. Uśmiechnęła się do niego.

– Cieszę się, że jesteś zdrowy, Jeremiaszu. Przeraziłeś mnie.

Skrzywił się. Wyszedł z łóżka. Stał, zgarbiony, z opuszczonymi ramionami.

– Przepraszam za to wszystko. Ja tylko... Nie znalazłem innego sposobu, że ściągnąć do domu moich chłopców.

Właściwie rozumiała jego desperackie pragnienie. Ale przecież okłamał ją.

– Wystraszyłeś wszystkich.

– Wiem.

– Sam jest naprawdę wściekły. Westchnął ciężko.

– Spodziewałem się tego. Ale jest tutaj. A to najważniejsze. I zostanie przez całe lato. Tak jak pozostali. Przyrzekli mi.

– Dlaczego to zrobiłeś, Jeremiaszu? Wiem, że tęskniłeś za nimi. Ale dlaczego teraz? Dlaczego właśnie tego lata?

Znowu uśmiechnął się. Widać było, że cieszyło go, że był taki tajemniczy.

– Tego nie mogę ci jeszcze powiedzieć, Maggie. Wyjawię mój sekret dopiero, kiedy wszyscy moi chłopcy tu będą.

– Jesteś uparty jak Sam. – Pomału pokręciła głową. Odwróciła się i dalej układała jego koszule w szufladzie.

– Lubisz go, prawda? Zerknęła przez ramię.

– Jeremiaszu...

Uniósł obie dłonie i rozpromienił się.

– Tak tylko pytam. Przyglądałem się wam... jestem już zbyt stary, żeby nie dostrzec

czegoś między wami.

Zapłonila się. Miała nadzieję, że nie zorientował się, jak mocno między nimi zaiskrzyło. Na samo wspomnienie tamtej nocy z Samem serce Maggie zaczęło bić szybciej. I zrobiło się jej gorąco. Wciąż pamiętała tamto rozkoszne szaleństwo. Ale nie tylko to. Od tamtej pory przyglądała się Samowi nieustannie. Gdy rozmawiał z Jeremiaszem. Gdy pomagał małej Katie. Widziała jego delikatność i cierpiała z powodu jego samotności. Dotykał jej na tak wiele sposobów, ale...

– To nie ma znaczenia, Jeremiaszu. On i tak wyjedzie.

– Pozwolisz mu?

– To nie zależy ode mnie – rzuciła. – Dobrze o tym wiesz. Sam opowiedział mi o Macu.

Starszy pan oklapł jak przedziurawiony balon.

– To było naprawdę straszne. – Głos mu nieco drżał. – Ale czas już najwyższy, żeby oni wszyscy zjawili się tutaj, zmierzili się z tym. Nauczyli się w końcu żyć bez Maca.

– Nie wiem, czy Sam będzie potrafił – wyszeptala Maggie.

Wciąż pamiętała wyraz jego oczu, kiedy opowiadał jej tę straszną historię.

– Mam nadzieję, że mylisz się, Maggie.

Kilka godzin później Sam stał przy kuchennym oknie i patrzył na domek Maggie po drugiej stronie podwórza. Była letnia noc. Czyste niebo roziskrzone gwiazdami, rozjaśnione księżycem w pełni. Wiatr szeleścił w liściach drzew. Jakby tłum ludzi czynił szeptem zakłady, czy Samowi uda się trzymać z daleka od Maggie, czy też nie.

On sam nie odważyłby się nawet zakładać.

Z salonu dolatywały dźwięki z telewizora. Jeremiasz, który nie musiał już symulować choroby, oglądał jakiś bardzo hałaśliwy program.

Sam spowaźniał. Wetknął ręce do kieszeni. Odbył przed obiadem burzliwą rozmowę z dziadkiem. Wyrzucił z siebie całą gorycz. Powiedział mu, jak obrzydliwie postąpił, udając, że był umierający. Strasząc wszystkich śmiertelnie.

Jeremiasz go przeprosił. Ale potem dodał na swoje usprawiedliwienie:

– Jest mi przykro, że sprawiłem wam przykrość, chłopcy, ale w dniu, w którym umarł Mac, straciłem nie jednego wnuka, ale czterech. Nie możesz mieć mi za złe, że próbuję ich odzyskać.

To była prawda. Sam nie mógł go oskarżać. Nie mógł gniewać się, że został podstępem zwabiony na ranczo. Bo naprawdę tęsknił za tym nieznośnym staruszkiem.

Sam otworzył kuchenne drzwi i wyszedł na werandę. Kiedy zamknął drzwi, ucichł hałas z telewizora. Letnia noc była ciepła. Tylko czasem powiew wiatru odrobinę chłodził powietrze. Opadły go nagle wspomnienia z dzieciństwa. Zamknął oczy i skoncentrował się na przeszłości. Wąchał znajome zapachy.

Z oddali doleciał go cichy pomruk zbliżającej się burzy.

Wkrótce spadnie deszcz, pomyślał.

Spojrzał w niebo. Wielkie, ciężkie chmury nadciągały znad horyzontu, pokrywały ranczo głębokim cieniem. Ileż to burz obserwował razem z kuzynami z przytulnego schronienia na

werandzie? Ileż nocy przesiedzieli na niej ze szklankami lemoniady w dłoniach, obserwując błyskawice, rozmawiając o dziewczynach, szkole, samochodach i innych równie ważnych dla chłopców sprawach? Byli bardzo zżyci.

Dlatego śmierć Maca wstrząsnęła nimi tak bardzo. Nie wiedzieli, jak rozmawiać. Zostało ich tylko trzech. Zachwiana została równowaga. Jakby trzynogi pies próbował biegać. Próbowali, aż w końcu dali spokój.

Pierwsza błyskawica przedarła się przez zasłonę chmur. Zaraz za nią grzmot uderzył w dom. Zadrżała szyba w drzwiach za jego plecami.

Sam oparł się o balustradę, wcisnął ręce do kieszeni i zapatrzył się na dom Maggie. Musiał bardzo się starać, żeby nie pójść przez podwórze, nie zastukać do jej drzwi i poprosić, by go wpuściła.

Od wielu lat żył na własny rachunek... Ale nigdy nie czuł się aż tak bardzo samotny.

I po raz pierwszy w życiu zaczęło mu to doskwierać.

Po drugiej stronie podwórza drzwi otworzyły się. Dosięgła go smuga światła. Maggie wyszła na zewnątrz.

– Zamierzasz tam stać przez całą noc? Serce Sama drgnęło.

– Myślałem o tobie – powiedział.

Przechyliła głowę, spojrzała w niebo. Potem popatrzyła na niego.

– Chyba będzie padało – powiedziała.

Kolejny grzmot zadudnił głucho. Kolejna błyskawica przecięła niebo.

– Chyba tak – przytaknął.

Nie mógł oderwać od niej oczu, żeby popatrzeć do góry. Stała jak tancerka, pełna gracji. Zrobiła krok w stronę barierki. Siatkowe drzwi za nią zatrzasnęły się. Padające od tyłu światło sprawiało, że wyglądała jak senne marzenie.

– Zmokniesz, jeśli będziesz tam stał. Naturalny zimny prysznic.

Może to niegłupi pomysł?

– Być może – bąknął.

– Tutaj będzie ci lepiej.

– Ale mniej bezpiecznie – zauważył.

Pomysł, żeby pójść do Maggie, zanurzyć się w jej ciepłe, niemal powalił go na kolana.

– Aż tak ci zależy na bezpieczeństwie? – spytała.

– Staram się. Dla twojego dobra. Popatrzyła na niego uważnie.

– I chcesz mi wmówić, że nie jesteś dobrym człowiekiem?

– Nie jestem. Naprawdę.

Następna błyskawica załała podwórze jaskrawym zimnym światłem. Grzmot przetoczył się nad dachami. Sam zadrżał.

– Nie wierzę ci.

– Cholera – mruknął i przeskoczył przez barierkę. Wściekłość aż odbierała mu dech w piersi. Czy nie widziała, ile wysiłku włożył, żeby zapanować nad sobą? Pierwsze krople deszczu spadły mu na głowę, ale nie zwrócił na nie uwagi. Nogi niosły go przez podwórze wielkimi krokami. Zatrzymał się przed schodami werandy Maggie.

– Staram się, jak mogę, trzymać się od ciebie z daleka, Maggie – powiedział.

– A kto cię o to prosił? – Uśmiechnęła się.

– Ty powinnaś.

– Nie sądzę.

Błyskawica jak lampa w dyskotecie ukazała mu szalone emocje w jej oczach. Dzikie i groźne.

– Myślę, że jesteś lepszym człowiekiem, niż starasz się udawać.

Przesunął dłoń po twarzy. Starł pierwsze krople deszczu.

– To dlatego, że mnie nie znasz.

– Och. Myślę, że jednak cię znam – powiedziała. – Na przykład wiem, że jesteś wolontariuszem w „Lekarzach bez granic”... Pomagasz dzieciom.

– Bo mogę zrobić coś dla nich i wyjechać. Bo to jest szlachetne i bezpieczne. – Deszcz lunął wielkimi kroplami. Grzmot zadudnił nad nimi. Błyskawica przecięła niebo. Sam uniósł głowę ku Maggie. Krople deszczu wpadały mu do oczu i jak łyzy spływały po policzkach. – Robię swoją robotę i wyjeżdżam. Nic mnie nie trzyma. Żadnych przyjaciół. Nic mnie nie obchodzi.

– Obchodzi cię – upierała się. A on zastanawiał się, czemu go nie słuchała. – Obchodzi cię bardziej, niż chciałbyś.

– Mylisz się. Podróżuję po kraju. Pracuję w różnych miejscach po kilka miesięcy i wyjeżdżam. Nie zostaję, Maggie. Nigdzie. Nie chcę się przywiązać. Nie chcę, żeby znowu mnie coś obchodziło. Tylko w ten sposób mogę ustrzec się przed kolejnym rozdarciem serca.

Dotknęła jego policzka. Samymi opuszkami. Ostrożnie starła wilgoć, odgarnęła z czoła wilgotne włosy.

– Jeśli chcesz bronić się, proszę bardzo. Ale nie musisz bronić mnie przed tobą, Samie. Jestem dużą dziewczynką. Sama podejmuję decyzje.

– Gdybyś miała odrobinę rozumu – burknął – odesłałabyś mnie do diabła.

Uśmiechnęła się. Pokręciła głową.

– Czemu miałabym to zrobić, jeśli tak bardzo chcę, żebyś został?

Skrzywił się.

– Nie mogę zostać. Nie licz na to, Maggie. Zeszła na dół, prosto w jego ramiona. Objęła go za szyję i zajrzała prosto w oczy.

– Miałam na myśli dzisiejszą noc – szepnęła. – Zostań ze mną dziś w nocy, Samie.

Gorąco jej ciała przeniknęło Sama na wskroś. Jej zapach... obezwładniał go. Zrozumiał, że nie mógł odejść. Nawet dla jej dobra.

Przytulił ją. Wzrokiem dotykał jej twarzy. Nie mógł już dłużej czekać. Wpił się w jej usta. Wplótł palce w jej włosy. Mocno trzymał głowę.

Deszcz padał coraz mocniej. Grzmoty i błyskawice goniły się coraz szybciej. Zerwał się wiatr. Ale oni nie zauważyli niczego. Serca biły im tak potężnie, że zagłuszały cały świat.

Sam całował Maggie coraz zachłanniej. A ona objęła go za szyję i przywarła ze wszystkich sił. Całowali się jak szaleni. Namiętnie i zachłannie. Dopiero brak powietrza w płucach zmusił ich do oderwania się od siebie. Lecz nie na długo. Sam wnet obsypał

pocałunkami brodę i szyję Maggie. Odchyliła głowę do tyłu i cicho jęknęła.

Sam wziął Maggie na ręce i ruszył po schodkach na werandę. Odsunął nogą siatkowe drzwi i wszedł do domu. Kopnięciem zatrzasnął drzwi i pomaszerował do sypialni.

Bardzo dobrze znał ten dom. Kiedyś mieszkał tu zarządca. Sam i jego kuzyni zawsze mieli wolny wstęp do jego domu.

Oczywiście wiele się tu zmieniło. Zauważył to w drodze do sypialni. Pojawiły się kolorowe obrazki i plakaty. I zewsząd dochodził zapach kwiatów i świeżo parzonej kawy.

Maggie połaskotała go w kark. A on stęknął i wyprężył się. Gwałtownie wciągnął powietrze. Niemal przebiegł krótki korytarzyk i wpadł do sypialni. Narzuta była odsunięta do połowy, jakby Maggie wszystko przygotowała.

– Potrzebuję cię, Maggie. Teraz. Pragnę cię.

Uśmiechnęła się szelmowsko i zdjęła koszulkę. Sam miał ochotę zamknąć w dłoniach jej piersi. Ale ona podeszła bliżej i przywarła do niego.

Schylił się i pocałował ją w kark. Pieścił gładką skórę. Czuł, jak drżała na całym ciele. Oddychała coraz ciężiej.

Przytuliła się do niego. Pragnęła go każdym nerwem. Od pierwszego pocałunku każde wspomnienie wciąż burzyło jej krew. Nigdy wcześniej nie przeżyła czegoś podobnego i marzyła gorąco, że Sam zmieni zdanie i nie wyjedzie. W głębi duszy czuła jednak, że tak się nie stanie.

Na razie miała go dla siebie.

Tak niewiele było w jej życiu pięknych chwil, że nauczyła się każdą traktować jak skarb. Każda chwila z Samem była taka.

A gdy on odjedzie... gdy zostanie sama... będzie miała wspomnienia. Wspomnienia.

Krew w jej żyłach zaczęła krążyć szybciej. Zaciśnęła powieki, skupiła się na doznaniach, których jej dostarczał. Starła się czuć je jak najwyraźniej. Przycisnął ją mocniej do siebie. Uniósł jej głowę i zajął w oczy.

– Pragnę cię jeszcze bardziej niż za pierwszym razem – wyznał szeptem.

– Tak jak ja – powiedziała Maggie.

Wspięła się na palce, chociaż miękkie kolana odmawiały jej posłuszeństwa, i pocałowała go. Zachłannie i namiętnie.

Popchnął ją delikatnie do tyłu. Jego ręce były wszędzie. Czuła je na całym ciele. Przymknęła powieki, żeby nie uronić nic z tych pieścizot.

Ich ciała zjednoczyły się we wspólnym rytmie. Popatrzyli sobie w oczy. Żar spojrzeń rozpałił ich jeszcze bardziej. I po chwili oboje zapadli w czeluść rozkoszy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez następny tydzień życie na ranchu Lonerganów toczyło się monotonnym rytmem. Sam spędzał dni na włóczędze po znanych z dzieciństwa zakątkach, a noce w łóżku i ramionach Maggie. Przestał martwić się, co będzie, kiedy wyjedzie... Maggie radowała się każdą wspólną chwilą i jemu także udzielał się taki nastrój.

Jeremiasz nie musiał już symulować choroby, dlatego Sam spędzał z nim wiele godzin po swoich wędrówkach. Choć minęło tyle lat, prawie nic się na ranchu nie zmieniło. Prawie.

– Warzywa? – spytał Sam.

Zatrzymał samochód na skraju drogi i patrzył na ciągnące się po horyzont zielone grządki. Jeremiasz wzruszył ramionami. Skrzywił się.

– Przestałem hodować bydło – powiedział – a nie chciałem, żeby ziemia leżała odłogiem. Wydzierzawiłem więc połowę ziemi grupie farmerów za procent z zysku. Pastwiska wynajął Dave Hemmings. – Westchnął cicho. Sam spojrzał na niego uważnie. – Jestem już stary, chłopcze. Sam nie dam rady obrobić tyle ziemi.

Sam poczuł wyrzuty sumienia. Próbował je uciszyć. Żaden z synów staruszka nie miał ochoty zostać na ranchu. Każdy poszedł swoją drogą. A wnukowie... w tym również Sam... uciekli piętnaście lat temu.

Nie dziwił się, że Jeremiaszowi trudno było prowadzić dalej rancho Lonerganów. Jakże musiało być dla niego bolesne takie powolne rezygnowanie z ukochanej posiadłości. Sam rozglądał się dookoła, lecz wciąż miał przed oczyma krajobraz sprzed lat.

A czas zmienił wszystko.

– Przykro mi – powiedział, nie patrząc na dziadka. – Żałuję, że nie było mnie tu do pomocy.

Jeremiasz poklepał Sama po ramieniu.

– Nigdy nie oczekiwałem, że przejmiesz rancho, chłopcze – powiedział szorstko. – Zawsze miałeś być lekarzem. Ale muszę przyznać, że bardzo za tobą tęskniłem. Za wami wszystkimi.

– Wiem. – Sam spojrzał w twarz starego człowieka, który zawsze był dla niego taki ważny. – Żałuję, że tak się to wszystko potoczyło. Jeremiaszu, nawet nie wiesz, ile razy marzyłem, że da się wszystko odwrócić.

– To nie była twoja wina, Samie – powiedział Jeremiasz zmęczonym głosem. – To nie była wina żadnego z was.

– Chciałbym móc w to uwierzyć. – Sam głęboko odetchnął. – Brakowało mi ciebie, staruszku.

Jeremiasz mocno zacisnął usta. Jego krzaczaste brwi poruszyły się gwałtownie.

– Tak, hm. Miło słyszeć – bąknął.

– Wystarczająco miło, żeby powiedzieć mi, co tu się dzieje? – spytał Sam. – Czemu wybrałaś właśnie to lato, żeby nas tutaj ściągnąć?

– Nie teraz – uciał Jeremiasz i energicznie pokręcił głową. – Dopiero gdy przyjadą Jake i

Cooper. Co powiesz na wizytę w mieście? Może odwiedzilibyśmy Berta?

Sam srogo popatrzył na dziadka.

– Nie zamierzam przejąć praktyki Berta – powiedział stanowczo.

– A czy ktoś o tym mówi? Chcę tylko odwiedzić starego przyjaciela.

– Uhm. – Sam nie dał się nabrać.

Nie umiał znaleźć odpowiedniej wymówki, więc włączył motor i ruszyli piaszczystą drogą do miasta.

Maggie ułożyła na krawędzi umywalki trzy paski plastiku. Z trudem przełknęła ślinę. Gardło miała ściśnięte.

– Trzy próby – szepnęła. Kręcąc głową wpatrywała się w wyniki testów. – Trzy plusy.

Musiała mieć pewność. W tych sprawach nie mogła polegać tylko na przekonaniu. Chociaż jej przekonanie oznaczało niemal pewność. Prawie całkowitą pewność. Nigdy nie miała spóźnień. Jedyne, co w jej życiu było naprawdę regularne, to cykl miesięczkowy.

Aż do tego miesiąca.

Uniosła głowę i napotkała w lustrze własne spojrzenie. Ze wszystkich sił starała się nie zauważać paniki...

Przecież to wspaniale! przekonywała się w myślach. Całe życie marzyłam o rodzinie. O kimś, kogo mogłabym kochać. I kto kochałby mnie.

Tu, na ranczu Jeremiasza, znalazła swoje miejsce.

A teraz będzie miała swoją rodzinę.

– Jestem w ciąży.

Dopiero gdy powiedziała to głośno, dotarło do niej. Uśmiechnęła się.

Obronnym gestem położyła ręce na brzuchu i wyszeptowała:

– Nie martw się, maleństwo. Wszystko będzie w porządku. Przysięgam.

Tymczasem w głębi duszy czuła pewien lęk. Jak powiedzieć o tym Samowi? Wprawdzie brał to pod uwagę, ale nie będzie szczęśliwy. Była tego pewna. Wiadomość o dziecku może być dla niego bolesna.

Maggie z westchnieniem obróciła się na pięcie i oparła o umywalkę. Myśli kłębiły się w jej głowie, mieszały z pragnieniami i marzeniami.

Niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w obrazek na ścianie – na dzieci igrające w wodzie z delfinami. Pomału zaczęła docierać do niej prawda, którą usiłowała dotychczas ukryć nie tylko przed Samem, ale nawet przed sobą.

Kochała go.

Kochała Sama Lonergana.

Jego siłę i łagodność. Jego delikatny dotyk.

Kochała go i nie mogła go tu zatrzymać. Gdy odjedzie z rancza, Maggie będzie miała przynajmniej dziecko. I już nigdy nie będzie sama.

Poczekalnia była pełna ludzi.

Dzieci krzyczały, zmęczone matki usiłowały nad nimi zapanować, a pielęgniarka

znużonym głosem wywoływała nazwiska kolejnych pacjentów.

Sam instynktownie poczuł potrzebę pomagania.

Jeremiasz pomaszerował prosto do drzwi prowadzących na zaplecze, do gabinetu Berta. Sam nie poszedł za nim. Zatrzymał się przy popłakującym cicho dziecku.

Klęknął na jedno kolano, uśmiechnął się do matki chłopca i zajął uważnie w pełne łez oczy małego.

– Jak ci imię? – spytał łagodnie.

– Toby. Gardło mnie boli. Matka odpowiedziała uśmiechem.

– Od wczoraj ma gorączkę i pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli przywiozę go tutaj... – Rozejrzała się po zatłoczonej poczekalni i ciężko westchnęła.

Sam widział błyszczące od gorączki oczy malca. Przyłożył mu dłoń do czoła. Było ciepłe, ale nie gorące. Ostrożnie, samymi opuszkami, obmacał nabrzmiate ślinianki. Potem pogłaskał chłopca po głowie.

– To mi wygląda na zapalenie migdałków – powiedział do matki. – Proszę podać mu jakiś łagodny środek przeciwbólowy. I dużo płynów.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Przepraszam, ale pan jest... ?

Sam chrząknął. Nie zdziwiło go, że była zaskoczona. Miał wszak na sobie wypłowiałe dzinsy, zakurzone buty i flanelową koszulę z zawiniętymi do łokci rękawami.

– Jestem Sam Lonergan. Proszę się nie obawiać. Jestem lekarzem.

– Czy gardziółko przestanie mnie boleć? – głos chłopca lekko drżał.

– Nie od razu – powiedział Sam. – Ale już niedługo. – Popatrzył na kobietę. – Powiem doktorowi Evansowi, że pani tu jest, i...

Uśmiechnęła się. Wyciągnęła do niego rękę.

– Dziękuję. Jestem Sally Hoover. A to mój syn, Toby.

– My już się znamy. – Sam uśmiechnął się także.

– Wspaniale. – Kobieta rozejrzała się dookoła, jakby upewniała się, że wszyscy ją słyszą.

– Pan jest wnukiem Jeremiasza, prawda?

– Tak...

– Nawet pan nie wie, jaka to dla nas ulga – ciągnęła Sally. – Kiedy dowiedzieliśmy się, że doktor Evans odchodzi na emeryturę, zaczęliśmy się bać, że będziemy musieli teraz jeździć do lekarza do Fresno. Jakie to szczęście, że pan tu będzie.

– Nie – zaproponował Sam. – Bardzo mi przykro. Nie zrozumiała mnie pani...

– Pan jest nowym lekarzem? – Kobieta z niemowlęciem na ramieniu zbliżyła się do nich.

– Jestem Victoria Sanchez. Miło mi pana poznać.

– Dziękuję, ale...

– Nazywam się Donna Terrino – wtrąciła się kolejna kobieta zza pleców Sama. Trzymała za ręce parę bliźniaków w wieku około pięciu lat. – To naprawdę cudownie. To prawdziwa przyjemność pana poznać. Mogę panu wszystko opowiedzieć o naszym mieście.

Panika ścisnęła Samowi gardło.

Coraz więcej osób gromadziło się wokół niego. Nowe twarze i nazwiska mieszały się mu

jak w kalejdoskopie. Ogarnęło go przerażenie. Serce biło jak szalone.

Poczuł się... osaczony.

Wszyscy patrzyli na niego, jakby był najwspanialszym podarkiem gwiazdkowym. Nie pozwalali mu dojść do głosu, nic wytłumaczyć. Z przerażeniem pomyślał o rozczarowaniu, jakiego mieli doświadczyć.

Ale to nie była jego sprawa. Nie do niego należała opieka lekarska w tym mieście.

Tylko dlaczego miał coraz silniejsze poczucie winy?

– Kiedy rozpocznie pan przyjmowanie pacjentów? – spytał ktoś z tłumu.

– Czy to jest nowy doktor? – rozległ się dziecięcy głosik.

Nie! – chciał zawołać. Ale i tak nikt by mu nie uwierzył. Wszyscy widzieli, jak oglądał pierwszego pacjenta.

Sam niespodziewanie poczuł dziwną tęsknotę. Za tym, żeby się tu osiedlić, znaleźć swoje miejsce. Skoro tak wielu tego chciałoby...

Drzwi za jego plecami otworzyły się i Sam obrócił się na pięcie, żeby zrobić przejście. Zrobił krok i stanął jak wryty.

– Sam? – Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna trzymał za rękę małą dziewczynkę. Podszedł do Sama wielkimi krokami.

Wspomnienia wróciły.

– Mike? Mike Haney?

– Jasne! – Wielki mężczyzna pokraśniał z zadowolenia. – Cieszę się, że cię widzę, chłopie. Tyle czasu! Słyszałem, że wróciłeś do miasta. Cooper i Jake też przyjechali?

– Jeszcze nie – odparł Sam.

Przestał zwracać uwagę na otaczający go tłumek matek i dzieci. Przed laty przyjaźnił się z Mike'em Haneyem. Jego jednego, tak naprawdę, brakowało Samowi po wyjeździe z Coleville. – Ale już niedługo będą.

– To moja córka. – Mike wyciągnął zza siebie małą blondyneczkę.

– Twoja córka?! – zdziwił się Sam.

W jego pamięci Mike Haney wciąż miał siedemnaście lat. Nadal podkradał piwo z lodówki ojca i przynosił nad jezioro.

– Nasza... – powiedział Mike z prawdziwą dumą w głosie. – Moja i Barb... pamiętasz Barb?

– Oczywiście. – Sam nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Wciąż zerkał na śliczną dziewczynkę kryjącą się za plecami ojca. W końcu pojął. – Ty i Barb wzięliście ślub?

– No jasne... Ta blondyneczka to nasza najmłodsza. Mamy trzy dziewczynki.

– Trzy...

– A każda śliczna jak obrazek. A co u ciebie? – Mike uśmiechnął się szeroko. – Żona? Dzieciaki?

– Nie. – Bolesny smutek przemknął Samowi przez głowę. – Nie mam rodziny.

– Och! No cóż... – Mike stropił się. Objął córkę i wysunął przed siebie. – Chciałbym, żebyś poznał Maxie – powiedział. Po krótkiej chwili dodał: – Nazwaliśmy ją tak na cześć Maca. Marie, kochanie, przywitaj się z doktorem Samem. On jest starym przyjacielem

twojego tatusia.

Sam wpatrywał się w wielkie, błękitne oczy i usiłował zmusić się do uśmiechu. Ale niespodziewany ucisk w gardle uniemożliwił to. Mac. Powód tak długiej jego nieobecności w tym mieście. Powód, dla którego znowu wyjedzie. I to wkrótce.

– Jest śliczna – bąknął w końcu. Odwrócił się i ruszył przez tłum pacjentów w stronę drzwi na zaplecze. Mała blondyneczka pomachała mu na pożegnanie. – Miło było znów cię zobaczyć, Mike.

Wielki człowiek kiwnął głową zdumiony ucieczką Sama.

– Daj mi znać, kiedy przyjadą Jake i Cooper. Może się spotkamy? Pogadamy o starych czasach.

– Dobrze. Doskonały pomysł – obiecał Sam, chociaż w myślach dodał, że nigdy się nie spełni.

Nikt nie namówi go na wspomnienia.

Był pewien, że Jake i Cooper myśleli tak samo.

Maggie czekała.

Przez cały obiad podczas zmywania i sprzątania kuchni nawet w czasie wieczornych wiadomości w telewizji trzymała w tajemnicy swój sekret. Czekwała, aż Jeremiasz usnie, jak zwykle, przed telewizorem i zostaną z Samem sami.

A kiedy doczekała się wreszcie tej pory, nie wiedziała, jak powiedzieć to, co musiało być powiedziane.

Sam siedział przy kuchennym stole. Przed nim leżały księgi rachunkowe rancza. Odwróciła się od zlewu i długo mu się przyglądała. Zbierała się na odwagę.

Sam pochylał się nad kolumnami liczb. Ciemne włosy opadły mu na czoło. Uniósł głowę. Szukał czegoś przez chwilę w stosie dokumentów.

Z sąsiedniego pokoju dolatywał stłumiony dźwięk telewizora. Wiatr stukał w szyby lodowatymi palcami.

Maggie westchnęła, wytarła ręce i starannie rozwiesiła ręcznik na uchwycie kuchenki.

Oj, nie będzie łatwo, pomyślała. Najlepiej powiedzieć to jak najszybciej.

– Sam?

– Hm? – Nawet nie podniósł głowy.

Pisał gorączkowo jakąś notatkę na żółtej kartce papieru.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście. – Pisał dalej.

– To ważne.

Coś w jej głosie sprawiło, że odłożył ołówek i spojrzał na nią.

– Coś złego? – spytał.

– Nie – odparła. Chociaż wiedziała, że on mógł mieć inne zdanie. Co dla niej było darem, Sam mógł odebrać jak pułapkę. Chociaż Maggie nie miała zamiaru go więzić. – Dla mnie przynajmniej to nie jest problem.

Uśmiechnął się lekko.

– No, to teraz mnie zaintrygowałaś.

Wstał i podszedł do niej. Zajrzał do salonu, żeby upewnić się, czy Jeremiasz nadal spał. Potem stanął przed Maggie.

– O co chodzi?

Wzięła głęboki wdech. Pomału wypuściła powietrze. I spróbowała się uśmiechnąć.

– Przez cały dzień zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć. A teraz, kiedy już tu jestem...

Ujął jej twarz w dłonie.

– Po prostu powiedz to, Maggie.

– Dobrze.

Nakryła rękami jego dłonie. Zajrzała mu głęboko w oczy. Czuła radość i zarazem żal. Gdyby okoliczności były inne, chwila ta mogłaby być radosnym świętem.

Chciała powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Jak bardzo będzie go kochała. Ale dobrze wiedziała, że na pewno nie byłby z takich wyzwań zadowolony.

Prawda była okrutna. Pokochała mężczyznę, który nie miał zamiaru odplacić jej tym samym. Człowieka, który myślał tylko o tym, by stąd wyjechać. Z rozpaczą w sercu myślała, jak wiele wspaniałych chwil mogliby przeżyć razem.

– Zaczynam bać się o ciebie, Maggie – powiedział ledwie słyszalnym głosem.

– Nie musisz. – Pokręciła głową. – Nie martw się o mnie. Mam się świetnie. Lepiej niż świetnie.

To nie ma znaczenia, pomyślała. Nie ma znaczenia, czy Sam kiedykolwiek ją pokocha. Maggie wystarczało, że ona kocha.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedziała.

Minęła go i podeszła do kuchennych drzwi. Nie chciała rozmawiać, gdy w sąsiednim pokoju drzemał Jeremiasz.

Wyszli. Maggie zatrzymała się dopiero na środku skąpanego w księżycowej poświacie podwórza.

– Dobrze – powiedział Sam. – Jesteśmy na zewnątrz. Teraz możesz mi powiedzieć.

– Mam taki zamiar – wydusiła przez ściśniętą krtań. – Ale zanim to zrobię, chcę, żebyś wiedział, że niczego od ciebie nie oczekuję. Mówię ci o tym tylko dlatego, że obiecałam i uważam, że należy tak postąpić.

– Maggie...

– Jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sam miał wrażenie, że coś ciężkiego uderzyło go w głowę.

Ciąża?

Przeciagnął dłonią po twarzy. Usiłował pozbierać myśli... Powiedzieć coś. Cokolwiek. Ale nie potrafił. Dziecko. Miał wrażenie, że lodowa obręcz zaciskała mu się na sercu. Wstyd rozpalał policzki.

Zrobił dziecko Maggie. Cokolwiek by mówić, tak się stało.

– Nic nie musisz mówić – rzuciła szybko Maggie. Sam głośno wypuścił powietrze. Spojrzał jej w twarz.

Oczy Maggie świeciły tajemniczo w księżycowej poświacie. Było w nich także coś, czego nie widział wcześniej... Radość. Prawdziwa, szczerą radość. Ta ciąża ją cieszyła..

Jakże chciałby móc powiedzieć to samo o sobie.

Tymczasem czuł tylko przerażenie. Aż brakło mu tchu.

– Od jak dawna o tym wiesz? – spytał w końcu.

– Od rana. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Wiem, że nie chciałeś tego, ale ja jestem zadowolona. Uwierz mi.

– Widzę. – Jej uśmiech był autentyczny i niewymuszony. Choć widział także troskę w jej oczach. Troskę o niego.

– Niczego od ciebie nie oczekuję, Samie – powiedziała, unosząc dumnie głowę. – Powiedziałam ci, bo uważam, że należało tak postąpić. Masz prawo wiedzieć, że będziesz ojcem.

– Boże. Ojcem.

Niewielki fragment jego duszy jęknął z zachwyty.

I z tęsknoty. Za dzieckiem. Za domem. I za kobietą taką jak Maggie, którą mógłby kochać.

– Nie musisz tak się bać – powiedziała. Zmusiła się do uśmiechu. Lecz jej oczy pozostały poważne. – Nie będę rodzić już za chwilę.

– Wiem, ja tylko...

Wiatr znienacka uderzył. Rozsypał włosy Maggie. Odgarnęła z twarzy niesforne kosmyki. Ani na moment nie przestała patrzeć Samowi w twarz.

– Chciałam, żebyś wiedział, że nie musisz się bać o mnie... Ani o dziecko. Będę dobrze opiekować się nim... nią...

– Wiem. – Odruchowo pokiwał głową.

Natłok myśli rozsadzał mu czaszkę. Maggie była mądra, odpowiedzialna i zaradna. Umiała poradzić sobie ze wszystkim. Udowodniła to swoim życiem. Trudnym dzieciństwem. I późniejszymi latami. Nie miał wątpliwości, że będzie umiała doskonale zadbać o dziecko.

Ale nie musiała.

Czuł, co powinien zrobić. Co powiedzieć.

– Nie mogę pozwolić ci zostać samej, Maggie. Ja także jestem odpowiedzialny za to

dziecko.

Jej oczy zwięzły się w szparki. – To znaczy... ?

– To znaczy... Chcę, żebyś za mnie wyszła. Cofnęła się o krok. Przyglądała się Samowi, jakby urosła mu druga głowa. Mówiąc oględnie, zaskoczył ją. Zaskoczył jak diabli. – Co?!

– Słyszałaś. Powinniśmy wziąć ślub. Tak właśnie należy postąpić. – Łatwo powiedzieć. Ale co to, tak naprawdę, oznaczało? Nie miał czasu na szukanie odpowiedzi. – To jest także moje dziecko, Maggie. Zastępuje na to, żeby mieć ojca.

Otrząsnęła się z zaskoczenia. Został już tylko smutek. Pomału pokręciła głową.

– Och, Sam. Gdybym wierzyła, że naprawdę tego chcesz, byłabym szczęśliwa.

– Chcę – powiedział.

Przez głowę przeleciała mu wątpliwość. Kogo chciał przekonać? Siebie czy ją?

– Nie. – W oczach Maggie zalśniły łzy. Kiedy odezwała się, głos się jej łamał. Ale z uniesioną głową próbowała panować nad sobą. – Nie chcesz tego. Nie chcesz wiązać się z niczym i z nikim. Nie chcesz miłości. Nie chcesz mnie... Ani tego dziecka.

– Maggie...

– Nie, Samie. – Podeszła do niego bliżej. – Nie mów niczego, czego nie chciałbyś powiedzieć.

W księżycowym świetle czytał w jej oczach. Zobaczył tam żal, rozczarowanie, ale i zrozumienie.

– Oboje wiemy – ciągnęła cicho – że jeśli zostaniesz tutaj, nigdy nie będziesz szczęśliwy. Aż w końcu mnie i dziecko oskarżysz, że chcemy zatrzymać cię siłą.

Trudno dyskutować z argumentami tak prostymi. Ileż dałby za to, żeby być innym człowiekiem! Ale jak to zrobić?

– Chciałbym powiedzieć, że się mylisz – powiedział – ale sam nie wiem. Od piętnastu lat – wyszeptał – uciekam przed ścigającymi mnie demonami. Uwielbiałem Maca. Zawiodłem go i umarł. Tego zmienić nie mogę. Jeśli pokocham ciebie i nasze dziecko i zawiodę was, chyba tego nie zniosę.

Delikatny, smutny uśmiech uniósł kąciki warg Maggie. Pogłaskała go po policzku.

– I dlatego nie mogę cię poślubić, Samie. Nawet jeśli cię kocham.

Tych kilka prostych słów zabolowało go. Z całego serca pragnął chwycić ją w ramiona i przytulić. Delektować się słowami, których nie spodziewał się usłyszeć nigdy w życiu. O których nawet nie myślał, że usłyszy. Lecz kiedy spojrzał w twarz Maggie, nie zrobił nic.

– Tak, kocham cię. Ale nie mogę wyjść za ciebie, Samie, ponieważ pragnę, by nasze dziecko wzrastało w miłości, nie w strachu. W nadziei, nie w rozpacz.

Zamknął jej dłoń w swojej. I mocno ścisnął, jakby od tego zależało jego życie.

– Chciałbym, żeby było inaczej – powiedział.

Już kiedy wypowiadał te słowa, wiedział, że to nie miało sensu. Wiedział, że same słowa niczego nie zmienią.

– To smutne – powiedziała Maggie. Uwolniła rękę z jego dłoni. – Może być inaczej. Ale ty tego nie chcesz.

– To nie takie proste.

– Owszem, to jest proste. Powiedziałaś, że uciekałaś przed ścigającymi cię demonami... Ale to też nie jest prawda.

– Słucham?

– To nie demony cię ścigają, Samie. – Jej cichy głos pełen był cierpienia. – To Mac. A on cię kocha.

Sam zeszywniał. Maggie wyczuła, że zamknął się w sobie. Chciała płakać, ale wiedziała, że to nie pomoże. Bo chociaż stał na wyciągnięcie ręki, był od niej dalej niż kiedykolwiek dotąd.

Łykając łzy powiedziała:

– Nie chcę męża, który ożenił się ze mną, bo uważał, że musi.

– Maggie...

– Myślę, że najlepiej będzie, gdy wyjedziesz z końcem lata, jak planowałaś. Nie chcę, żebyś znalazł się w życiu tego dziecka.

Zachwiał się jak po ciosie.

– To jest także moje dziecko, Maggie.

– Owszem, ale go nie chcesz. A ja tak.

– Cholera, Maggie...

Cokolwiek chciał powiedzieć, było już za późno. Maggie odwróciła głowę, bo na podjazd przed dom wjechał samochód.

Zgasły światła. Silnik przestał warczeć. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i z auta wysiadł wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna.

– Wygląda na to, że w czymś przeszkodziłem – powiedział przybysz, patrząc to na Maggie, to na Sama. – Zawsze trafiam nie w porę.

– Cooper. – Sam ruszył ku niemu z wyciągniętą ręką. Serdecznie się przywitali. – Cooper, to jest Maggie Collins – powiedział Sam. – Ona jest... gospodynią Jeremiasza.

Wyczuła dystans w głosie Sama. Zabolało. Ale powiedziała sobie w duchu, że dobrze się stało, iż przyjazd Coopera przerwał ich rozmowę.

– Miło mi – wymamrotała. Zmusiła się, by spojrzeć w twarz Samowi. – Do zobaczenia rano.

– Maggie... Cofnęła się dwa kroki.

– Dobranoc, Sam. Dobranoc, Cooper – powiedziała. – Obróciła się na pięcie i odeszła. Wpadła do domu, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami.

Kolana jej się trzęsły. Serce łomotało. Zamknęła oczy i zapłakała.

– Powiesz mi, co się tu dzieje? – spytał Cooper, kiedy Jeremiasz poszedł spać. – Nie mogę uwierzyć, że tak nas nabrał.

– Mnie to też cholernie zaskoczyło. – Sam wyjął piwo z lodówki.

Gestem zaprosił kuzyna, by usiadł. Otworzył butelkę i pociągnął duży łyk lodowatego napoju. Usiadł wygodnie i opowiedział wszystko o udawanej agonii Jeremiasza.

Kiedy skończył, Cooper roześmiał się. Upił łyk piwa.

– A niech go... – powiedział. – Cieszę się, że nic mu nie jest. Nawet nie umiem gniewać się na niego.

- To tak jak ja.
- Kto mógł przypuszczać, że staruszek jest taki przebiegły? Taki pomysłowy?
- To u nas chyba rodzinne. – Sam uśmiechnął się krzywo.

Horrory Coopera Lonergana od pięciu lat straszły czytelników w całej Ameryce. Każda kolejna jego książka była straszniejsza od poprzedniej.

Sam rozparł się na fotelu. Obracał w dłoni butelkę.

- Czytałem twoją ostatnią książkę – powiedział.
- Tak? – zdziwił się Cooper. – Co o niej myślisz?
- Przeróżająca. Jak i pozostałe.

– Dzięki. – Cooper rozejrzał się po znajomym wnętrzu i westchnął. – Człowieku, tutaj nic się nie zmieniło. Jakby czas stanął w miejscu.

- Spotkałem w mieście Mike'a Haneya – powiedział Sam.
- Poważnie?! – zawołał Cooper. – Co u niego?
- Ożenił się z Barb Hawkins i mają trzy córki.
- Człowieku – Cooper przełknął kolejną porcję piwa – ale jesteśmy starzy.

Ponad stołem Sam przyglądał się kuzynowi, którego nie widział od dzieciństwa. Cooper właściwie się nie zmienił. Zmężniał tylko i rozrósł się w barach. Ale wciąż miał te same, ciemne oczy Lonerganów, pełne cieni, które Sam co rano dostrzegał w lustrze.

Śmierć Maca bardzo dotknęła ich wszystkich.

- Opowiedz mi o tej gospodyni? Sam zeszywniał.
- Co mam ci opowiedzieć? Cooper zachichotał.
- Nie bądź taki tajemniczy. Po prostu zdawało mi się, że rozmawialiście o czymś... ważnym.

Sam odstawił piwo na stół i wstał. Poszedł do kuchni. Odszukał w szafce plastikowy pojemnik z ciasteczkami i wrócił do salonu. Podsunął ciastka Cooperowi.

- Jakie? – spytał Cooper.
- Czekoladowe.
- Do piwa?!
- Coś ci nie pasuje? – Sam ugryzł jedno ze smakiem.
- Nie, nic. – Cooper ostrożnie wziął ciasteczko do ust. – Wyborne!
- Taaak – rzucił Sam od niechcenia.

Przed oczyma miał obraz Maggie poprzedniego dnia piekącej te ciasteczka. Jaka była ładna. Miała pyłek mąki na nosku, włosy związane w koński ogon i tańczyła w rytm muzyki z radia. Wiele wysiłku kosztowało go, żeby nie fantazjować z Maggie w roli głównej.

Każdy jej ruch, każdy gest poruszały go do głębi. Nie zdarzyło się mu to jeszcze nigdy w życiu. Każdy uśmiech Maggie rozjaśniał mu duszę. Każde jej dotknięcie było miękkie jak jedwab.

Pragnął jej. Z każdym uderzeniem serca.

- Do diabła! – Cooper sięgnął po następne ciastko. – Ona jest mężatką?
- Bo co? – warknął Sam.
- O! – Ciasteczko zatrzymało się w pół drogi do ust Coopera. – Nie strzelaj do mnie. Tak

tylko pytałem.

– Przepraszam. – Sam pohamował się.

– Jest już zajęta, tak?

– Odczep się Cooper, dobrze?

– Dobrze. – Umilkli. Minęło wiele długich minut, nim Cooper odezwał się znowu. – Po co tu jesteśmy, skoro Jeremiasz nie umiera?

– Nie chciał powiedzieć. Dopóki nie przyjedziemy wszyscy. Wiesz coś o Jakeu?

– Rozmawiałem z nim, kiedy dostaliśmy wiadomość o Jeremiaszu. Powiedział, że przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł. Ale wcześniej musiał jeszcze coś załatwić.

– W Hiszpanii?

Cooper wzruszył ramionami.

– Znasz Jake'a. Wciąż jeździ na rajdy po całym świecie.

Przez okna zaglądała noc. Wiatr szeptał za oknami. Stary dom był cichy, jeśli nie liczyć zwykłych trzasków i skrzypnięć.

– Dobrze znów cię widzieć – powiedział Sam.

– I ciebie też. To nie powinno trwać tak długo. Brakowało mi was.

– Mnie też.

Znów zapadła cisza. Słysząc było tylko tykanie zegara. Jak bicie serca. W końcu Cooper odstawił na stół niedopite piwo.

– Lepiej już pojedę – powiedział.

– Jesteś pewien, że nie chcesz tu zostać?

– Tak. Cieszę się, że cię widzę. I Jeremiasza. Ale w tym domu wspomnienia są wyjątkowo bolesne.

Trudno było nie zgodzić się z tym.

– Poza tym – ciągnął, sięgając po wiszący na oparciu krzesła długi, czarny płaszcz – mam dużo pracy. Gdybym tu został, nigdy bym jej nie wykonał.

Sam pokiwał głową i ruszył za Cooperem do drzwi.

– Nie mogę uwierzyć, że wynająłeś dom Hollisów – powiedział. – Ludzie tutaj wciąż wierzą, że jest nawiedzony.

Cooper zastygł z ręką na klamce samochodu. Uśmiechnął się szeroko.

– Jak myślisz, dlaczego go wynająłem? Znasz lepsze miejsce na lato dla autora horrorów?

– Masz rację.

– Do zobaczenia jutro.

Sam pokiwał głową i uniósł rękę na pożegnanie, Obserwował przez moment odjeżdżający samochód.

Kiedy ucichł warkot silnika i słysząc było tylko szelest liści, Sam spojrzął na dom Maggie. Świeciło się tam światło tylko w jednym oknie... w jej sypialni.

Zaprzagnął pójść do Maggie. Poczuć ją w ramionach. Zamknąć w objęciach. Ale nie przypuszczał, żeby jej się to spodobało. Wcisnął więc ręce do kieszeni i stał nieruchomo, wpatrzony w jasne okno jej sypialni.

Wyobrażał ją sobie w łóżku, pod kołdrą w kwiatki. Zastanawiał się, o czym myślała. Co

czuła.

Czy czuła się tak wypalona jak on?

Czy była samotna?

Czy też dziecko, które rosło w jej łonie, wystarczało, by zapełnić jej cały świat?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W ciągu kilku następnych dni Jeremiasz odmłodził jakieś dziesięć lat. Uśmiechał się szeroko, oczy radośnie mu lśniły. Śmiał się często i głośno.

Sam przyglądał mu się i czuł wyrzuty sumienia. Z egoistycznych pobudek odsunął się na tak długo! Nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób karał także innych. Nie tylko omijał szerokim łukiem ranczo i dziadka. Uciekając przed swoimi upiorami krążył po świecie, nie myśląc o tym, że także rodziców zostawiał samotnych.

Teraz było już za późno, aby to naprawić. Nie da się cofnąć czasu. Rodzice zginęli pięć lat temu w wypadku awionetki. Pozostali trzej synowie dziadka także już nie żyli. Zginęli w wypadkach. Jakby nad Lonerganami ciążyła klątwa. Jego rodziną byli tylko dziadek i kuzyni.

Sam coraz bardziej uświadamiał sobie, jak bardzo byli dla niego ważni. Jak ważne było dla niego życie.

A wszystko z powodu Maggie.

Potrząsnął głową. Ściągnął robocze rękawice, wsunął je do tylnej kieszeni dżinsów i ściągnął koszulkę.

Poranne słońce mocno prażyło i pot spływał mu po plecach.

Było mu dobrze.

Dobrze było zatrzymać się w biegu.

Dobrze było pracować w miejscu, które wciąż znaczyło tak wiele w jego sercu.

Rozejrzał się po podwórzu, po ciągnących się polach i łąkach. Rzucił przepoconą koszulkę na płot. W ostatnich tygodniach znów znalazł swoje miejsce na ranczu. Jak w dzieciństwie. I jak wtedy myśl o wyjeździe sprawiała mu autentyczny ból.

Tym razem jednak wynikało to bardziej z tego, kogo miał opuścić. Spojrzenie Sama znów pobiegło w stronę domku zamieszkiwanego przez Maggie. Nie było jej tam. Wiedział to. Ale... nawet gdy jej nie było, czuł jej obecność.

Znalazł spokój w jej ramionach. Znalazł pociechę i ukojenie. I zaczął dostrzegać sens życia rodzinnego. Chociaż trzeba przyznać, że wciąż go to przerażało. Nie mógł zostać. Nie mógł dać jej, czego chciała... potrzebowała.

Prawda?

– Tyle pytań, a tak mało odpowiedzi – mruknął pod nosem.

Odgarnął włosy z czoła i zadarł głowę do góry, do rozpalonego słońcem nieba. Czuł na twarzy gorące promienie, czuł je na odsłoniętej skórze.

Ale w duszy wciąż miał lód.

Mróz przenikający aż do kości.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że miał głębokie przeświadczenie, że to wszystko była jego wina.

Ciszę dnia zburzył narastający warkot samochodu. Sam obrócił się. Spodziewał się, że to Jeremiasz i Cooper wracali z wyprawy do Coleville. Starszy pan bardzo na tę podróż nalegał. Sam miał już dość samotności. Zbyt wiele czasu na myślenie, zbyt wiele refleksji.

Ale to nie był samochód Coopera. Na podwórze wjechała półciężarówka. To była Maggie.

Serce Sama ruszyło z kopyta. I zaschło mu w ustach. Jaskrawe słońce odbijało się w szybach i prawie nie było widać, kto siedział za kierownicą. Ale jemu to nie przeszkadzało. Wystarczyło, że wiedział, iż była w pobliżu, i natychmiast emocje ścisnęły mu trzewia.

Maggie wysiadła z auta. Odrzuciła włosy na ramię.

– Cześć, Sam. Uśmiechnęła się smutno. Boże! Jak on za nią tęsknił.

Zupełnie nie umiał wyobrazić sobie, co będzie, kiedy wyjedzie.

– Czy Jeremiasz już wrócił? – spytała. Zatrzasnęła drzwiczki i zaczęła wyjmować z bagażnika torby z zakupami.

– Nie. – Sam ruszył ku niej.

– Pomyślałam, że znów upiekę ciasteczka czekoladowe... Trzeba uczcić, że wy dwaj tu jesteście. – Wspięła się na palce, żeby sięgnąć po następne torby.

– Nie ruszaj – zawołał Sam. Odsunął ją i wziął sprawunki. – Nie powinnaś dźwigać ciężkich rzeczy – powiedział surowo.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nic mi nie jest, Samie. Warzywa mogę zanieść sama.

Jednak nie ustąpił i sięgnął po torby.

– Nie możesz – powiedział. – Przynajmniej dopóki ja tu jestem.

Uśmiech spłynął z jej twarzy.

– Ale będę musiała, kiedy wyjedziesz. Poczuj ucisk w sercu. Aż do bólu.

– Jeszcze nie wyjechałem – zauważył.

– No, dobrze. Zanieś to do kuchni i postaw na stole. – Maggie poszła przodem. Otworzyła drzwi i go wpuściła. Potem zaczęła rozpakowywać torby.

– To też mogę zrobić – powiedział Sam.

Poczuj gwałtowną potrzebę pomagania jej. Przynajmniej dopóki tu był. Spojrzała mu w twarz.

– Sam, ja wiem, że starasz się być miły, ale...

– Maggie, to jest dla mnie ważne... żeby ci pomagać. Psiakrew! Ależ idiotycznie to zabrzmiało. Pomagać?

Zamierzał pomagać matce swojego dziecka rozpakować torby z jarzynami, a potem wyjechać? Cudownie! Wspaniały plan.

Maggie westchnęła. Ujęła go za ramię. Dotknęła Sama po raz pierwszy od wielu dni. Było to najwspanialsze dotknięcie, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Jakże brakowało mu jej czułości!

Kiedy cofnęła rękę, poczuł przerażającą pustkę.

– Nie dam rady, Sam – powiedziała cicho. W jej oczach zalśniły łzy. – Nie mogę... być przy tobie i nie kochać cię.

– Maggie...

Uciszyła go gestem ręki.

– Nie mogę kochać cię i spokojnie myśleć o twoim wyjeździe. Przykro mi. Naprawdę nie

mogę. Ale jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, proszę... daj mi trochę spokoju.

Wyrzuty sumienia i wstyd sprawiły, że Sam cofnął się. Tylko on wiedział, ile go to kosztowało. Miał wrażenie, że ktoś wbił mu w serce tuzin ostrych noży.

– Masz rację – powiedział. – Ja, hm, wrócę już do naprawiania płotu. – Odwrócił się i położył rękę na kłamce. – Tylko... Zrób to dla mnie i nie podnoś niczego ciężkiego.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Zgoda.

– Dzięki. Będę na zewnątrz... – W tym momencie zadzwonił wiszący na ścianie telefon.

– Ranczo Lonerganów – powiedziała Maggie do mikrofonu. – Cześć, Susan. Co... Och! Dobrze. Powiem mu. Tak – zerknęła na Sama z ukosa – jest tu obok mnie. Powiedz Katie, żeby się nie martwiła.

Kiedy rozłączyła się, Sam spytał:

– Co się stało?

– To była Susan Bateman. Ich suka zaczęła rodzić i Katie przeraziła się, że stało się jej coś złego. Prosiła, żebyś przyjechał pomóc.

– Ja? – Sam parsknął śmiechem. – Katie wie przecież, że jestem lekarzem ludzi, prawda?

– Tak – odparła Maggie. – Ale ona jest małą dziewczynką, która kocha swojego psa. Jest przerażona. A tobie ufa.

Ufa.

Cóż za brzemię. Szczególnie dla człowieka, który nieustannie starał się trzymać z dala od ludzi i ich oczekiwań.

Maggie wyczuła jego obawę i zachciało jej się płakać. Odkąd odkrył, że była w ciąży, dość się już napłakała.

To nie powinno być takie bolesne i trudne, pomyślała.

Kocha, jest w ciąży... Powinna być szczęśliwa. Radować się i świętować.

A tymczasem była w rozpacz, gdyż traciła mężczyznę, który nie mógł... bądź nie potrafił dostrzec stojącego przed nim szczęścia.

– Powiedziałeś, że chciałbyś mi pomóc – powiedziała cicho. Zajrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich strach. – Jeśli mówisz szczerze, pojedź pomóc Katie.

Zacisnął szczęki. Jakby przeżuwał gorzkie słowa. W końcu kiwnął głową.

– Zgoda – powiedział. – Wrócę tu później. Wyszedł. Maggie oparła się o stół. Marzyła, żeby wszystko mogło się zmienić. Żeby Sam potrafił zauważyć, że byli sobie przeznaczeni. Wszyscy troje.

Suka, jasnożółty golden retriever o imieniu Księżniczka, nie była zainteresowana jakkolwiek pomocą. Spojrzała na Sama, jakby chciała mu powiedzieć, że doskonale da sobie radę, byle tylko jej nie przeszkadzać.

I tak się stało. Z Katie u boku Sam przyglądał się, jak na świat przychodziły kolejne szczenięta.

– Czy to boli? – spytała Katie.

– Troszeczkę – powiedział Sam. I wskazując leżącą na materacu sukę, dodał prędko: – Ale Księżniczce to nie przeszkadza, widzisz?

– Tak. – Katie usiadła mu na kolanach. – Popatrz, jeszcze jeden!

Urodziło się szóste szczenię. A po kilku minutach jeszcze siódme i ósme. Wkrótce wszystkie maleństwa były wyczyszczone i umyte. A Księżniczka zmęczona usnęła.

– Mamusiu, już są wszystkie! – zawołała Katie. Susan Bateman wetknęła głowę w drzwi i uśmiechnęła się do Sama.

– Dziękuję, że pan przyjechał. Ona była taka przerażona.

– Możesz dostać szczeniaka, jeśli chcesz – powiedziała Katie. – Jeremiasz chciał jednego, a ty możesz dostać drugiego.

– Och, kochanie – rzuciła Susan i posłała Samowi przeproszający uśmiech. – Doktor Sam nie zostanie tutaj. On nie ma domu, gdzie mógłby trzymać pieska.

Sam zmarszczył się. Nie podobało mu się to wytłumaczenie, ale co miał powiedzieć? Wszak miała rację.

– Nie masz domu?

– Nie...

– On jest bardzo zajęty – wtrąciła Susan. – Pracuje po całym świecie.

– Przecież nie musisz – powiedziała Katie i poklepała go po ręce. – Możesz zostać tutaj i mieć pieska i dom, i mnie do zabawy, i...

– Katie... – Głos jej mamy pełen był zmęczenia, ale i rozbawienia. – Idź na górę i umyj ręce przed jedzeniem.

– Doobrzeeee... – Wyraźnie zde gustowana Katie posłuchała.

Kiedy wyszła, Susan wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Dziękuję, że pan przyjechał. To było dla Katie bardzo ważne.

– Nie ma za co – odparł. Wstał i otarł dłoń o dłoń. – Cieszę się, że mogłem pomóc.

Nie uwierzyła, ale i tak się uśmiechnęła.

– Niektórzy mówią, że ją rozpieszczam. Ale tak trudno się powstrzymać.

– Ona jest jedynaczką?

– Właściwie nie – odpowiedziała cicho. – Mieliśmy dwoje dzieci. Ale nasz syn Jacob umarł dwa lata temu.

Jej cichy głos, proste słowa, wstrząsnęły Samem.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Wszystko w porządku. Nie musi pan nic mówić. Proszę za mną, coś panu pokażę. – Zaprowadziła go do salonu. Przez szerokie okna wpadało światło do zastawionego meblami wnętrza. W kącie leżały zabawki, na stoliku do kawy kolorowe pisma i parę książek.

Susan podeszła do ściany, na której wisiało kilka oprawionych w ramki fotografii. Pośród nich portret roześmianego chłopca. Mógł mieć około trzech lat, jasne włosy i błyszczące niebieskie oczy. Jak jego siostra.

– To jest Jacob – powiedziała.

– Jest śliczny – powiedział Sam. – Co się stało? Westchnęła. Skrzyżowała ramiona i powiedziała:

– Kiedy sprowadziliśmy się tutaj, zamierzaliśmy postawić płot od frontu. Ale jakoś zawsze było coś ważniejszego do zrobienia. Stale byliśmy zajęci. – Potrząsnęła głową. –

Jacob pobiegł za piłką, prosto na ulicę. Kierowca nawet go nie zauważył.

Boże!

– Tak mi przykro.

– Nam też było przykro – powiedziała cicho. Popatrzyła mu w twarz i głęboko nabrała powietrza. Dla uspokojenia. – Długo trwało, ale jakoś w końcu się pozbieraliśmy. Życie musi toczyć się dalej. Stale wspominamy Jacoba. Mamy Katie i... – przyłożyła dłoń do brzucha – .. . numer trzeci już w drodze.

Mimo tylu tragicznych doświadczeń potrafiła się pozbierać. Spróbować jeszcze raz. Ujęła go jej odwaga.

– Jak pani pokonała ból?

– Wcale nie trzeba – odparła. – Trzeba po prostu nauczyć się z nim żyć. Jeremiasz opowiedział mi o pana kuzynie Macu.

Niektórzy żyją z tym, pomyślał Sam, jak Susan, która musi opiekować się Katie. A inni uciekają.

Ze wstydem musiał przyznać, że ta kobieta okazywała każdego dnia więcej odwagi, niż on potrafił wykrzesać z siebie przez piętnaście lat.

I w tym momencie przejrzał. Serce zaczęło mu walić. Poczł pieczenie pod powiekami. Coś ścisnęło go za gardło. Zrozumiał! Pojął, że ucieczka nie koi ran. Że nie można skryć się przed bólem i cierpieniem. Że dopóki nie znajdzie własnej drogi przez życie, będzie równie martwy jak Mac.

– Przepraszam, Mac – powiedział Sam, wpatrując się w ciemną toń jeziora. Chociaż brzmi to dziwnie, wyraźnie czuł obecność Maca. – Przepraszam, że cię wtedy zawiodłem. Przepraszam, że tak długo mnie tu nie było.

Powiew wiatru zmarszczył powierzchnię jeziora.

– Wciąż za tobą tęsknię. Każdego cholernego dnia. – Schylił się, podniósł kamień i cisnął do wody. – Ale myślę, że wreszcie wszystko będzie dobrze. Chciałbym... żebyś wiedział.

Stał w milczeniu i po raz pierwszy od tamtego odległego, letniego dnia czuł się... pełen życia.

Nieoczekiwane pukanie do drzwi tak wystraszyło Maggie, że wylała sobie herbatę na bluzkę. Zerkając podejrzliwie na drzwi, skarciła się w myślach za taką reakcję.

Sam nie odwiedził jej od dnia, kiedy powiedziała mu o dziecku. I o to jej chodziło.

Mruczając coś pod nosem, odstawiła kubek na stolik i wstała. Podeszła do drzwi i je otworzyła. Przed nią stał Sam.

Lecz nie był to ten sam człowiek. Kilka godzin wcześniej widziała kogoś innego. Ten, który stał przed nią, tryskał radością. Iskierka nadziei zaświtała w jej duszy.

– Sam?

– Mogę wejść, Maggie? – Obiema rękami ścisnął framugę.

Jakby powstrzymywał się przed wtargnięciem do środka.

– Nie wiem... – Nadzieja próbowała zagościć w jej duszy, lecz broniła się przed nią.

Nie mogła pozwolić sobie na jeszcze jedno rozczarowanie.

– Proszę, Maggie. Tyle mam ci do powiedzenia... O tyle chcę cię prosić.

Choć zimne dreszcze przebiegły jej po plecach, usłuchała instynktu. Odsunęła się, gestem zaprosiła go do środka. Wszedł energicznie i zatrzymał się na środku pokoju. Odwrócił się do niej i powiedział:

– Maggie, jestem idiotą.

– W porządku... – Powoli zamknęła drzwi i czekała.

Bała się uwierzyć. Bała się marzyć.

Obiema rękami przesunął po włosach. Potem opuścił je wzdłuż boków.

– Coś mnie dzisiaj oczarowało. – Co?

– Ty. My. Dziecko. – Roześmiał się i szeroko rozpostarł ręce. – Życie.

– O czym ty mówisz, Samie? – Maggie zbliżyła się do niego ostrożnie.

– Kocham cię.

Zachwiała się. Przycisnęła dłoń do piersi. Jakby chciała uciszyć łomotanie głupiego serca.

– Co?

– Kocham cię, Maggie – powtórzył i podszedł do niej. – Kocham cię od chwili, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz. Ale byłem zbyt głupi... albo zbyt przerażony, żeby to dostrzec. Żeby uwierzyć w to.

– Sam... Nie wiem, co powiedzieć... – Boże, modliła się w duchu, spraw, żeby naprawdę to miał na myśli.

– Nie mów nic. Pozwól mi mówić. Pozwól mi powiedzieć, ile dla mnie znaczysz. – Podszedł do niej, zamknął jej twarz w dłoniach i zajrzał w oczy. – To ty przypominałaś mi, co znaczy żyć, Maggie. Śmiałaś się ze mną, spierałaś. Pokazałaś, że życie bez miłości nie jest pełne.

– Sam... – głos się jej załamał.

Zamrugwała gwałtownie, żeby usunąć łzy spod powiek. Nie chciała niczego uronić. Chciała widzieć emocje lśniące w jego oczach.

– Piętnaście lat uciekałem – powiedział. Wplótł palce w jej włosy. Jego spojrzenie omiatało ją jak dotyk kochanka. – Ukrywałem się przed wszystkim i wszystkimi, których kochałem. Straciłem bezpowrotnie czas, który mogłem poświęcić ludziom, bardzo dla mnie ważnym. Wmawiałem sobie winę, ponieważ uważałem, że nie mam prawa być szczęśliwy. Tłumiłem swoje uczucia, gdyż związaną się z kimś mogło przynieść mi kolejne cierpienie.

Delikatnie pogłaskała go po policzku. Uśmiechnęła się, kiedy obrócił głowę i pocałował wewnątrz jej dłoni.

– Ale, Maggie, dzisiaj uświadomiłem sobie, że uciekanie przed miłością także oznacza cierpienie. – Objął ją i spojrzał głęboko w oczy. – Byłem samotny i pusty. Nie chcę więcej być sam. Chcę cię kochać, Maggie. I chcę być przez ciebie kochany. Chcę wychowywać nasze dziecko... I następne...

– Następne?

– Następne. – Roześmiał się radośnie. – Niech będzie tuzin.

– Sam...

– Gotów jestem zaryzykować, Maggie. Jestem gotów poddać się przeznaczeniu. I jestem

gotów uwierzyć, że to ty nim jesteś.

Radość wypełniła serce Maggie. Zrobiło się jej gorąco. Poczowała miękkie nogi. Gdyby jej nie trzymał, przewróciłaby się na podłogę.

Nie liczyła na to... Nie spodziewała się.

– Och! Sam...

– Rozmawiałem z doktorem Evansem – mówił prędko, z ożywieniem. – Zamierzam przejąć jego praktykę w mieście...

– Naprawdę? – Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Rozpromieniła się. Wizja przyszłości oszołomiła ją.

– Ale, jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym mieszkać tutaj. Na ranchu. Jeremiasz starzeje się i będzie potrzebował opieki. Poza tym, psiakrew! stęskniłem się za rodziną. Za moimi korzeniami. Za tym miejscem.

Maggie roześmiała się przez łzy.

– Ależ oczywiście, że nie mam nic przeciw temu! – zawołała. – To miejsce jest moim domem. Kocham je. I kocham Jeremiasza.

– A mnie? – spytał z niepokojem. – Proszę, powiedz, że wciąż mnie kochasz, Maggie. Powiedz, że nie zwlekałem zbyt długo.

– Kocham cię, Samie – powiedziała. Serce podeszło jej do gardła. Łzy napłynęły do oczu, zupełnie ją oślepiając. Ale to nie miało znaczenia. Wiedziała, że będzie widywała go codziennie. Że każdego dnia będzie widziała miłość w jego oczach. – Zawsze będę cię kochała.

– Powiedz, że za mnie wyjdiesz – poprosił, wyraźnie zdenerwowany.

– Tak. Wyjdę za ciebie – wyszeptwała. Serce omal nie eksplodowało jej ze szczęścia. – I przyrzekam, że zawsze będę cię kochała.

Przytulił ją. Pocałował.

– Tylko śmierć nas rozłączy, Maggie.